

Gołębiowski, Stefan

Wizerunek osobowy : osoba pierwsza

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 11, 35-92

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wizerunek osobowy¹⁾

Trzy osoby w jednej osobie. Trzy podobne, a jednak różne. Łączą się wzajem i podporządkowują jedna drugiej, druga trzeciej, trzecia pierwszej w kredowym kole zamkniętym w sobie. To koło kredowe zawdzięczam tablicom klasowym: podstawowym, gimnazjalnym i nawet uniwersyteckim.

Inni z tego koła wychodzili, a ja mu na całe życie wierny zostałem. Pewnie dlatego, że nie miałem takich nóg, które by mi pozwoliły się z niego wydostać. Czy może chęć służenia innym, żeby uwierzyli w siebie, kiedy ich wiara we własne siły opuszczała, do tego mnie skłoniła.

Nie wiem również, czy w tym kole znalazłem się z powołania, bo go przecież nie miałem, chociaż z wiekiem to powołanie się ujawniło i mimo że prawie 20 lat już nie uczę, jednak we mnie nauczyciel polonista z aspiracjami klasyka przez mojego Horacego pragnie wracać i żyć w szkole, dla której na lepszą przyszłość położyłem kamień węgielny pod szkołę zbiorczą.

Tyle o kredowym kole. A teraz z kolei o samym sobie pytanie. Co wzajem łączy te samoistne osoby tkwiące w kredowym kole? Odpowiadam: OSOBOWOŚĆ stale poszukująca siebie w podnoszeniu poziomu, który jest zarazem pionem, w zgodzie z imperatywem wewnętrznym, niekoniecznie tak uregulowanym, jak zegar kantowski, królewiecki.

Mam na myśli poszukiwanie podwójne: zarówno w słowie, jak i w czynie. W słowie, co sięga do źródeł mowy i zarazem czerpie z jej skarbów, żeby je wzbogacić i umocnić w działaniu, dla którego słowo ma być czynu testamentem. Dla współczesnych, jak i dla potomnych.

Tak pojęta osobowość nie powinna być w uproszczeniu jednoznaczna, jak też nie powinna gubić się w wieloznaczności. Przy czym nie może się narzucać, lecz przede wszystkim promieniować. W czym ja sam bynajmniej mimo najlepszych chęci za wzór służyć nie mogę.

Przy tym należy wziąć pod uwagę to, że wszelkie przerosty są niebezpieczne nie tylko w ujemnym tego słowa znaczeniu, lecz i dodatnim, albowiem osobowości z jednej strony grozi nadczłowiek, a z drugiej mit, w którym człowiek, zamiast odnaleźć siebie, ginie.



Stefan Gołbiowski wśród młodzieży Gimnazjum w Przasnyszu.
(fot. w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu.)



Stefan Gołbiowski wśród młodzieży Gimnazjum w Przasnyszu.
(fot. w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu.)

Osoba pierwsza

Listopad, który życie moje osobowe zaczął, znów wrócił do mnie zagęszczony. W pierwszej dekadzie egzaminy pisemne. Mniej więcej w połowie drugiej egzaminy ustne, i przestaję być studentem. W TSNW poszukuję posady.

Powrót do domu. Radość niebywała. Z obu stron, matki i ojca, w rodzinie pierwszy ze studiami wyższymi. Nieoczekiwany awans óslej ławki. Najwyżej cztery klasy i na dwoje babka wróżyła: ksiądz albo aptekarz.

Jestem szczęściem znużony. Sen sprawiedliwy słusznie mi się należy. Toteż zasnąłem w najlepsze. A tu matka mnie budzi. Wezwanie do telefonu. Dyrektor Miejskiego Gimnazjum w Przasnyszu Stanisław Kurowski. Ten ze „Stu lat myśli polskiej” od Garczyńskiego Stefana? Tak. Słucham.

— Przez biuro TNSW dowiedziałem się, że ma Pan naukowy egzamin na nauczyciela szkoły średniej i jako polonista poszukuje Pan posady. Mogę Panu zagwarantować pełny etat, pokój z osobnym wejściem w moim mieszkaniu dyrektorskim i uposażenie podług tabeli Towarzystwa ponad 400 zł.

Nogi się ugięły pode mną, pod ciężarem szczęścia. A przecież były proste jak struny. To dopiero po latach w Przasnyszu ugięły się pode mną i już się nigdy nie wyprostowały. Iść prosto nie pozwalają i klęknąć także.

Wbrew listopadowi tymczasem w nastroju wiosny jadę do Brudnic. Pożyczam od Wujka 400 złotych i bryczką ruszam do Lidzbarka Welskiego, skąd koleją jadę przez Działdowo i Mławę do Warszawy. Tam się ubieram na całego.

Z walizką pełną garderoby w rękę, w palcie z fokowym kołnierzem i w pilśniowym kapeluszu wsiadam do autobusu Iskra, gdzie się odzywa podobny kapelusz: Czy polonista do Przasnysza? Henryk Chromiński, matematyk. Uścisk dłoni. Wraca ze szpitala. Zastrzał w palcu. Po operacji. Czeka na panią od francuskiego. Niecierpliwi się. Ma dla niej bilet.

Czas najwyższy. Włączony motor. W ostatniej chwili zjawia się trzeci kapelusz. Tym razem damski. Wysoka, aż za wysoka, niemłoda, już po trzydziestce. W żałobie po stracie ojca. Henryka Kozłowska. Melle Henriette. Raczej Telimenę mi przypomina. Toteż rozmawiałem z nią tak, jak Pan Tadeusz podczas pierwszego spotkania przedmiotowo egzaminacyjnego.

Postój w Pułtusk. Wychodzimy odetchnąć. Pierwsze wrażenie o Pani Henryce. Twoje imię. Ty mi się podobasz, a francuzica nie w moim guście. Co innego moja Anielcia. Iskra. Oczy mu się zaświeciły. Nie ma porównania.

Listopad, dekady drugiej koniec: srebrne wesele bronowickie i kir wielkiej żałoby. Osierocił nas Stefan Żeromski. Dowiedziałem się o tym dopiero po pierwszym dniu lekcji przy wieczornej herbacie od dyr. Kurowskiego.

— Dobili go reakcyjni szubrawcy za „Przedwiośnie”, jak niespełna trzy lata temu zabili naszego Pierwszego Prezydenta.

Był pokrewny Dostojewskiemu, który odkrył mroki duszy rosyjskiej w znaczeniu ogólnoludzkim. Żeromski poszedł jego śladem i rozdrapywał popowstaniowe rany, żeby podłością nie zarosły.

Nie ma życia, jest tylko śmierć, nie ma śmierci, jest tylko życie: 20 listopada śmierć Żeromskiego pod wesele bronowickie, zapowiadające „Wesele” Wyspiańskiego, w powiązaniu z drugimi narodzinami mojej pierwszej osoby, zapowiadającej potrójną osobowość; i 25 listopada, data moich pierwszych narodzin, poprzedzona wigilią śmierci Adama, i pogrobowa Wyspiańskiego w Charonowej łodzi z Nocy listopadowej. Uszy w górę. Dzwon Zygmunta. Kopytami wierzgnął i ryknął we mnie osioł. Przez metamorfozę Pegaz się odezwał.

Jak Marsjasz odarty przez Apollina z własnej skóry wlażłem w skórę nauczyciela polonisty, bez przygotowania pedagogicznego. Nie wyzwalałem siebie, lecz innych powielalem w sposób pożałowania godny.

Już dobrze nie pamiętam, czym lekcje wypełniałem w klasach, w których uczyłem na obraz i podobieństwo własne z jednoczesnym przelewaniem z pustego w próżne. Uczniowie byli wyrozumiali i łączyła nas wzajemność. Więcej było we mnie ucznia niż nauczyciela.

Znacznie lepiej czułem się poza lekcjami. Z Heniem i z naszymi Paniami tworzyliśmy nieodstępną czwórkę. Łączyła nas Szkoła, potem wspólny obiad u Pani Żmijewskiej. A po obiedzie sąsiedni pokój naszych Panien.

Po tète à tète spacer po Błoniu i w stronę parku miejskiego, ławeczka na wyspie i ponownie szkoła na drugim piętrze. Czas na przygotowanie się do lekcji i na poprawianie zeszytów klasowych, jak i domowych.

Po godzinie szóstej, siódmej, a nawet ósmej powrót do domu. Czas przeznaczony na lektury szkolne, obowiązkowe i nadobowiązkowe. Co innego znać utwór dla siebie, a co innego omawiać go z uczniami. Niełatwo być polonistą.

Wizytacja po trzech miesiącach dała tego dowody niezbite. Zapędziła mnie w kozi róg. Wizytator, Inspektor szkolny, Kierownik Szkoły i mój

Dyrektor po lekcji w szkole na pierwszym piętrze u nauczyciela matematyki Skrzypka przyszli do mnie o piętro wyżej do kl. III.

Na lekcję wybrałem z lektury nowelę „Siteczko” zaczynającą się od słów „Co jej się stało? Jezus Maria! Co jej się stało?”. I taką też lekcja była, pełna znaków zapytań i wykrzykników.

Pod tym kątem całą godzinę omawiałem trzy stroniczki do miejsca, w którym tatko Bronię Siteczkiem nazwał: „Czego nauczy się, powiada, to zapomni; za czym dziś przepada, tego jutro już nie pamięta; wszystko, powiada, przelatuje przez nią jak przez sito.”

Przeprowadziłem rozbiór tych trzech stron pod względem treści i formy, stylistycznym i językowym. Resztę nowelki poleciłem w domu przeczytać i w zeszytach odpowiedzieć na pytanie: „O czym Siteczko zapomniało?”

Po tej lekcji wezwano mnie do pokoju Dyrektora i znalazłem się na cenzurowanym. Wizytator, inspektor i kierownik rozprawili się ze mną w sposób pryncypialny. Lekcję moją przeciwstawili lekcji Skrzypka, który wzór, według nich, dał lekcji naśladowania godny. Znalazłem się w nie lada opałach.

Mój Dyrektor milczał i palił papierosa po papierosie. Wyglądał jak Pytia w kłębach dymu, kiedy się odezwał i tak mnie mniej więcej podsumował:

— Pozwólcie, że ja tak krańcowy nie będę. Rzeczywiście. Lekcja nauczyciela matematyki zasadniczo nie budzi zastrzeżeń jako przykład lekcji znormalizowanej, jednak brak jej inwencji mobilizującej. Jest niezłym fachowcem, nauczycielem, co się zowie. Zna się na swoim rzemiośle. A jest to warunek sine qua non. Tego wymownym dowodem lekcja jęz. polskiego z III gimnazjalnej. Nauczyciel rzeczywiście nie ma przygotowania pedagogicznego, ale przy swoim naukowym, sądzę, że po 4 latach praktyki to przygotowanie zdobędzie. Wówczas zda egzamin pedagogiczny i otrzyma dyplom nauczyciela polonisty. Na czym to opieram? Proszę Kolegów, jesteście wytrawnymi pedagogami, jednak nie wiem, czy stać byłoby Was, żeby przez 45 min. utrzymać uwagę klasy przy tak ograniczonym materiale. A nawet zainteresowanie malujące się w oczach uczniów. W naszym polonście widzę zadatek na artystę, który jako nauczyciel zapowiada się interesująco.

Po odcięciu gołębie skrzydła mi urosły. Z ulgą wróciłem do pokoju nauczycielskiego. Koledzy przyjęli mnie milczeniem, do uszu ich bowiem doszły nie najlepsze słychy o mojej lekcji. Ktoś o tym nawet bąknął, kiedy do pokoju wszedł Dyrektor i postawił kropkę nad i.

— Stefek, ależ sknociłeś lekcję — wziął mnie w ramiona i ucałował. Ten mały wzrostem Dyrektor urósł w moich oczach. On mnie pierwszy pasował na nauczyciela mieczem Damoklesa, co wisiał nad moją głową. In spe.

Zresztą i w tym pierwszym roku musiałem być nauczycielem nie bez powołania, kiedy niemal po 50 latach uczennica właśnie z tej III kl. po jednym z programów telewizyjnych, w którym brałem udział, Halina Ostaszewska w liście do mnie, z którego passus przytaczam, w ten sposób się odezwała:

— Przypominam sobie, jak na jednej z pierwszych lekcji języka polskiego po przyjeździe Pana do Gimnazjum przy omawianiu nowelki „Nasza szkapa” powiedziałam: ona umarła. Klasa zareagowała trochę wesoło, a Pan przyszedł mi w sukurs mówiąc: nie śmiecie się. Wasza koleżanka dobrze się wyraziła. Ta szkapa była niejako członkiem rodziny i dlatego można o niej powiedzieć, umarła.

Właśnie Pan, Panie Profesorze, uczył przeżywać i odczuwać ludzi i poprzez literaturę uczył nas wrażliwości.

Powiedział Pan, byłem Profesorem w prowincjonalnym mieście Przasnyszu, ale to przecież było dobre Gimnazjum, z którego wyniosłam dużo rzetelnej wiedzy, a Pan walenie przyczynił się do mego rozmiłowania w literaturze.

Był to najbardziej beztroski rok w moim życiu. Dnie niepowtarzalne, bo pierwsze i nawet od Wielkiego Świąta tak się ze sobą związały, że ich nie sposób wyodrębnić. Tworzą swoistą całość odległą, a jednak bliską.

Wyznaję to na przekór sobie, bo rzeczywistość nasza do takiej beztroski nie upoważniała. Listopad zatrzymał się na PRZEDWIOŚNIU i dreptał w miejscu. Pod płaszczykiem demokracji panoszyła się reakcja.

W tej sytuacji nie było innej rady: zamiast wiosny zielonej przyszła wiosna krwawa przewrotu majowego. Autorytet władzy przez Piłsudskiego się podniósł, ale jednocześnie i zaciążył – zwyrodniały demokratyzm przeciężył, a prawdziwy przez konstytucję kwietniową ograniczył.

Po roku kontakty czwórki rozpadły się. Henio z Anielcią zaczęły tworzyć własną rodzinę, a ja skazany na Pannę Henrykę stawałem się nieodstępnym towarzyszem codziennych spacerów i spotkań w jej zasięgu.

Ona nade wszystko lubiła towarzystwo męskie, a ja natomiast stroniłem od kobiet. Nie miałem pewności siebie. Byłem nieśmiały i co tu mówić, nieporadny w obcowaniu. Jak ognia bałem się śmieszności.

Mimo to, a może dzięki temu zbliżyliśmy się do siebie. Tym bardziej, że stan mego zdrowia wyraźnie się poprawił. Chodziłem bez laski. Henia stała się moją laską w zamiejskich spacerach, gdzie mogliśmy chodzić pod rękę.

Dzięki niej bliższe mi się stały arkana wdzięków kobiecych i gry miłosnej. Była na oko odpychająca, a w gruncie rzeczy pociągająca bez pokrycia. Górowała nade mną doświadczeniem, a ja – młodością niewyżytą.

Wzbożacy przeżyciami osobistymi w szkole poczułem się pewniejszy, ale ta pewność na dobre mi nie wyszła, zwłaszcza w prowadzeniu lekcji. Niepotrzebnie podniosłem stopień moich wymagań.

Za dużo zadawałem do domu prac pisemnych bez należytej kontroli i w ten sposób nie ćwiczyłem umiejętności w pisaniu, lecz raczej umacniałem złe nawyki. U młodego nauczyciela lepsza jest początkowa niepewność niż zbytnia pewność przy małym doświadczeniu i przy absorbującej miłości.

Na obniżenie poziomu wpłynęła również słabsza kontrola ze strony Dyrektora Kurowskiego, który przez swoje proWYZWOLENIOWE przekonania zaczął tracić grunt pod nogami, gdyż popadł w konflikt z endekami i klerykami.

Warszawa umiała go docenić. Był zastępcą dyrektora Gimnazjum Lorentza i Dyrektorem im. Władysława IV na Pradze. Stolica stanowiskami obdarzyła, a prowincja poniżyła, bo ponad nią górował.

Po bankiecie pożegnalnym, na którym mego Pierwszego Dyrektora od serca pożegnałem, z północy Polski ruszył na południe do Wieliczki pod Krakowem jako Dyrektor tamtejszego Gimnazjum.

Tam odezwał się w nim gracz Dostojewskiego, w którym się szczególnie rozczytywał, i zginął śmiercią Kiryłowa z „Biesów”.

Dla mnie czas jego skończył się w połowie roku 1927.

Wybiegam naprzód, żeby wrócić w innym nastroju. Przy pożegnaniu Przasnysza przez Henia i Anielcię padło pytanie: „A kiedy Wy się zdecydujecie?” Odpowiedziałem półżartem: „Jeśli tylko Henia zechce, może to głupstwo popelnimy podczas ferii letnich.” Ta dodała drugie półżartem: „Cyganka mi wróżyła, że mam mieć trzech mężów. Nie jestem już pierwszej młodości. Czas wielki zaczynać, jeśli wróżba ma się spełnić.” W rezultacie z tych dwóch półżartów powstał żart wcale nie na żarty.

Wesele odbyło się w Mińsku Mazowieckim. Wielce wystawne, jednak bez muzyki. Jedynie skrzypce artystyczne podczas ślubnej mszy rzymskiej



Henryka – żona Stefana Gołbiowskiego.
(fot. w zbiorach Muzeum Małego Miasta
w Bieżuniu.)

odezwały się na chórze. Czuję się niedysponowany, jakbym przeczuwał, że to małżeństwo będzie dla mnie niestrawne.

Bez nocy poślubnej i bez miodowego miesiąca.

Mój samotny powrót do Przasnysza. Czasu mało. Zaledwie tydzień na jakie takie urządzenie się. Dopiero po trzech dniach z trudem znalazłem pół domku w pobliżu parku. Drewniak niski, wrastający w ziemię. Dwa pokoiki z westfalką w długiej oszklonej werandzie.

Pierwszy rok pożycia godny pożalowania, gdyż moja żona zbliżenia małżeńskie uważała za wyraz osobistego poświęcenia i za zło konieczne. O dziecku nie chciała słuchać.

To nie znaczy, że nie dbała o mnie. Przeciwnie, dbała ponad miarę. Ważyłem mało, zaledwie 60 kg. Pragnęła, żebym przytył i nabrał więcej prezencji. A prawie że się nie znała na umiejętnościach kulinarnych. Wychowana na dalekich kresach dniewprowych, gdzie Nienasieciec, znała jedynie tłustą kuchnię ukraińską, nie na moje możliwości żołądkowe.

Raczyła mnie na swój sposób, jak umiała, i w rezultacie, zamiast przytyć, schudłem. Organizm osłabł i gościec nie tylko się odezwał, ale jednocześnie poczynił postępy. Po stopach zaatakował kolano. Przez jedno kolanowe uderzenie w wejściowe drzwi, co obrosłe mrozem uparte nie chciały się zamknąć.

Czy to odbiło się źle na szkole. Nie sędzę. Szkoła przecież była dla mnie ucieczką od mrocznego, ciasnego i wilgotnego życia domowego. Mówię przez złośliwą ironię. Dzięki niej zeszyty poszły w robotę i podniosłem poziom prac pisemnych z jęz. polskiego, zwłaszcza w ortografii. Przy wchodzeniu do klasy uczniowie witali mnie podniesionymi słownikami ortograficznymi.

Jak mówisz i piszesz, tak cię widzą. Tę moją dewizę przyjął za swoją i poparł mój drugi i ostatni Dyrektor Aleksy Chmielowski. Postawny, przystojny, bardziej reprezentacyjny, dyrektorsko teatralny. Mówca pelen swady.

Polonista ze szkoły lwowskiej A. Małeckiego, a więc spod znaku Słowackiego i krakowskiej S. Tarnowskiego, a więc spod znaku Krasińskiego. Do tego donżuan, zdobywca serc aż do raptus puellae.

Po tym niefortunnym trzecim roku z żoną dla poratowania zdrowia wyjechałem do siarczanego Buska, niedaleko od Solca, który tak się korzystnie zapisał w mojej cherlawej egzystencji.

Tam dopiero przeżyliśmy nasz miesiąc miodowy. Beztroski w całym tego słowa znaczeniu. Pokój wynajęliśmy na piętrze willi Mickiewiczówka od dwóch panien comme il faux w wieku mniej więcej mojej żony.

Dzieliła nas od nich ściana bardzo akustyczna. Ja w rozmowie, jak już wiadomo, grzeszę głosem. A w tym przypadku grzeszyłem nie tylko głosem. Euforia nasza do nich docierała wraz z nagim klaskaniem. Hałaśliwie się pieściliśmy, że aż łóżko z uciechy piszczało przy różnych breweriach. Ten ubaw to była cała miłość mojej żony.

Miesiąc miodowy minął i miłosna gra się skończyła. Henia sprowadziła swoją matkę. W jednym pokoju zamieszkaliśmy w trójkę. Pogoda się popsusła i przyszły dokuczliwe wiatry. Prawie kilometr drogi z Mickiewiczówki do

Zakładu Kapielowego zdecydował, że dotychczasowe moje leczenie przemięło z wiatrem. W pierwszym miesiącu kolano wyzdrowiało, za to w drugim miesiącu drogą rekompensaty gościec wrócił do kostki.

Stracone złudzenia. Wcale nie balzakowskie, lecz moje własne.

Wracamy do Przasnysza, gdzie ni stąd ni zowąd ślepej kurze trafiło się ziarno. Mieszkanie w Ryńku w kamienicy na piętrze. Dwa wysokie pokoje z kuchnią i korytarzykiem. Duży stołowy z balkonem, a za nim sypialny.

Słońce zawitało do naszych okien i przez drzwi otwarte na balkon. Żona mieszkanie wietrzyła aż do przesady. Nawet w dni potargowe, w których nie wiem, czy pokoje, czy Rynek wietrzyła, co od nawozu końskiego zalatywał łajnem. Taki był jej odruch, który z warunkowego stał się bezwarunkowy.

Charakterystyczne. Mieliśmy we dwoje prawie tysiąc złotych pensji miesięcznie i mimo to, że ja pomagałem młodszemu bratu, a ona matce, mieliśmy wszystkie dane, żeby pokoje nasze należycie umeblować.

Żona jednak o to nie dbała. Poza otomaną zakupioną w Warszawie, reszta mebli tandetna, funta kłaków nie warta z reprezentacyjną paką ustawioną na sztorc, brokatem obitą, pod lustro platerowe od Henneberga.

Dom przasnyski, jako lokatorski, nie był jej domem. Nie miała też domu własnego w Mińsku Mazowieckim, a jednak ten dom uważała za własny. Odpowiadał jej gustom jako wielopokojowy w stylu Pani Dulskiej.

Do szkoły uczęszczałem bez opuszczania lekcji, stricte. Punktualnie, bez spóźnień. Z domu po lekcjach już nie uciekałem do szkoły. Stałem się domatorem. Czas, poza pracami związanymi ze szkołą, nade wszystko wypełniałem przygotowaniem się do egzaminu z filozofii i z pedagogiki.

Przygotowywałem się pracowicie i systematycznie ze wzorowo prowadzonymi notatkami, a mimo to, im bardziej termin egzaminów się zbliżał, tym większy żywiłem strach i lęk o ich wynik. Większy niż przed pierwszym nauczycielskim. Nie zdać egzaminu dla nauczyciela to nie to samo, co dla studenta. To kompromitacja na całego. Wobec dyrektora, kolegów i uczniów.

Zdawałem u Kotarbińskiego i u Nawroczyńskiego. Pierwszemu przyznałem się, że nie znam jego logiki. Zapytał: A jaką znam? Odpowiedziałem: Jevonsa. Zaproponował, żebym jej zasady ujął w skrócie myślowym. Uczyniłem to w taki sposób, że zadziwiłem Profesora. Pytania z psychologii i z historii filozofii, między innymi Hume, też wypadły nad moje oczekiwanie.

Profesor odpowiedzi ocenił na bardzo dobry, a że jeszcze nie znałem logiki nowożytnej, napisał jednak dobry. Cudowny Profesor. Po latach 44 posłałem na jego adres PIEŚNI Horacego w moim przekładzie. Odwzajemnił się wierszami z dedykacją: „Czcigodnemu Panu z prośbą o przyjaźń”.

Inaczej wypadło jedyne moje spotkanie z B. Nawroczyńskim. Do jego przedmiotów przygotowywałem się gruntowniej niż do filozofii, a tymczasem poszufladkowany w sobie uznał, że do jego szufladek nie bardzo pasuję. W rezultacie musiałem się zadowolić jedynie oceną dostateczną.

Wróciłem do Przasnysza uszczęśliwiony, że po zaliczeniu mojej dotychczasowej praktyki nauczycielskiej, dyplom mam już za sobą. To było dopiero ukoronowanie moich studiów wyższych, równych późniejszym magisterskim.

Dyplom obowiązuje, toteż do Gimnazjum wracam z nowymi siłami. Odrabiam zaniedbania w pracach pisemnych. Powtarzam materiał klas dawniejszych problemowo w klasie ósmej. Omawiam różne konfiguracje tematów. Urządzam próbną maturę, żeby uczniów oswoić z atmosferą egzaminów dojrzałości.

Tym bardziej, że to jest pierwsza matura moich uczniów. Sprawdzian nie tylko uczniów, ale i mnie wobec Delegata Kuratorium, Dyrektora Państwowego Gimnazjum w Pułtusk, Karaskiewicza.

Jeden z tematów „Poezja bólu rodzicielskiego”. Trafiłem w dziesiątkę. Przy nadobowiązkowej lekturze „Wspomnienie o Adamie Żeromskim” powtórzyłem „Treny” – poezję bólu przezwyciężonego przez optymizm życia i „Ojca zadżumionych” – poezja bólu zadżumionego pesymizmem: tu jest mój cmentarz, a tamtędy droga. Nie ma innej, tylko w pustynię.

Z pracami maturalnymi wróciłem do domu. Najpierw ciekawość. Zajrzałem do prac moich uczniów słabszych. Odetchnąłem z ulgą i zasiadłem do obiadu. A tu dzwonek. Poirytowany biegnę do drzwi. W drzwiach Jadka Sadowska ze łzami w oczach przeprosza mnie za to, że mnie skompromitowała.

Do trzech przerobionych utworów dodała jeszcze Wdowę z „Balladyny” i chłopkę z „Chłopskiego serca”. Obok ojców dodała literackie matki. Wszyscy mówią, że niepotrzebnie. Oni niby są lepsi, a tymczasem ty masz rację. Idź i powiedz im o tym. Twój dzwonek jeszcze nieraz się we mnie odezwie.

Pożegnałem klasę, której wychowawcą byłem przez cztery lata.

Egzaminy końcowe, pierwsza matura moich uczniów i koniec roku z promocjami wyczerpały mnie do ostatnich granic możliwości psychicznych i fizycznych w szczególności. Toteż dla poratowania zdrowia Henia zdecydowała, że uzdrowiska krajowe są do niczego i wysłała mnie do Piszczan, gdzie się ostatnio leczył, również chory na reumatyzm, Wuj Budzich.

Tam cieplicowe kąpiele zwierciadlane, borowinowe w basenie i przede wszystkim tzw. pakungi, w których żywym mumiom pot zalewał oczy, zrobiły swoje. Wróciłem do Przasnysza w dobrej formie, ale za to do szczętu wysmażony z tłuszczu i przez kąpiele rozhartowany.

Cieplicowe leczenie wymagało aklimatyzacji i odpoczynku po tak intensywnej kuracji, a tymczasem Szkoła na to nie pozwalała. Wietrzna i słotna jesień pokazała, co może i zrobiła swoje. Rykoszetem po tamtegorocznej kostce prawej odezwała się lewa. I znów musiałem wrócić do laski.

I znów ucieczka do klas i do uczniów. Moja wiedza dydaktyczno-metodyczna w teorii już dobrze opanowana nie zawsze szła w zgodzie z praktyką. Za bardzo hołdowałem heurzezie z jej zboczeniem do erotematyki. Od Adamczewskiego do Czapczyńskiego, co tę metodę mimowiednie ośmieszył. Wtargnęła ona nawet do ciekawego merytorycznie podręcznika literatury Kridla.

Co innego w odniesieniu do nauki o języku. Jego najlepszym metodykiem był Z. Klemensiewicz, a jego podręczniki mogły z powodzeniem służyć jako pierwowzory jednostek lekcyjnych. Nawet przez trzy z uśmiechem.

Przewycięzać na tych lekcjach, często traktowanych po macoszemu, nudę i przymus. Łączyć żart językowy z dowcipem słowotwórczym. Chwytać uczniów na błędach językowych i wciąż szukać sposobów nowych, wzbogacanych przez etymologię wyrazów. Wówczas, zaręczam, że uczniowie będą te lekcje lubili, jak ja sam je lubiłem. Więcej uczniów uczyłem na lekcjach, do domu mało zadawałem. Zdobywałem do gramatyki nawet i tych, co się bronili „rękami i nogami” i co dzień zaczynali od słów: Duchu Święty oświeć dusze nasze”.

Pod znakiem szkoły stał cały tydzień, również i w domu. Z wyjątkiem czwartku. Po obiedzie czwartkowym zamiast 3 śliwek królewskich „Wiadomości Literackie” od deski do deski, od obyczajowo-pikantnego Boya Żeleńskiego do zaprawionych solą attycką „Kronik Tygodniowych”, a między nimi ambitna rozmaitość propozycji literackich od lewicy do prawicy. Pierwsze u nas nowoczesne pismo literackie w całym tego słowa znaczeniu inteligentkie, związane ze „Skamandrem”, preferującym przede wszystkim talent.

Zima. Piekło mrozów już za mną. W marcu jak w garncu. Pierwsze kwietniowe podmuchy wiosny. A tu złowieszczą depesza. Ojciec umarł. Matka niedawno pisała, że Ojciec choruje, ale sama nas nauczyła wierzyć w jej własne choroby, a choroby Ojca bagatelizowała. Stąd moja opieszałość. Przecież i tak za trzy dni mieliśmy się spotkać podczas Wielkiejnocy.

Natychmiast jedziemy do Bieżunia. Drogi zupełnie nie pamiętam. Pustka bezdrożna. Matka na progu wita mnie płaczem. W saloniku Ojciec już leży w trumnie. Ten, co nosił, trzyma krzyż. Mówię: Ojczy nasz... Mam na myśli Ojca. Zapomniałem o Bogu.

Dzień, a ja już przeżywam pustą noc, która dopiero zaczęła się późnym wieczorem, kiedy ludzie się zeszli i zaczęli śpiewać. Najgłośniej śpiewał Truska, najstarszy bieżuniak. Śpiewał tak wstrząsająco „U drzwi Twoich stoję, Panie”, że aż ujrzałem drzwi, które Ojciec w domu naszym skasował. Już ich nigdy nie otworzy. Są zamknięte na amen. Przez Syna Ojciec umarł na serce.

Pochowany został pod brzozą płaczącą... Czemu z boleścią się szerzyć. Polonista się we mnie odezwał. Pożal się, Boże!

Jakże się różni czas zegarowy od czasu pamięciowego, jeśli nie został w ten czy w inny sposób utrwalony. Większość wiosny do pierwszych dni czerwca ojciec zabrał do grobu. Dni były podobne nocom, a noce były puste.

Uciekłem od nich do Krakowa na Zjazd Polonistów w 400 Rocznicę Urodzin Jana Kochanowskiego, który potenczas stał mi się szczególnie bliski przez dziewiętnaście pereł w koronie Pana smutku i pogody i przez „Odprawę posłów greckich” na dziedzińcu wawelskim. Antyk białego wiersza przez renesans pałacowy z trzema kondygnacjami kolumn odżył i zapisał się w mojej pamięci w sposób nieodwracalny. Niech starczy za dowód, że to samo mówię, kiedy to piszę w 400-lecie od zgonu Jana z Czarnolasu.

Po Zamkowym Wawelu w Katedrze z kaplicą Zygmunrowską hołd w jej podziemiach pokrólewskich złożyłem Mickiewiczowi i Słowackiemu. Antagonistom nawet w grobowcach: Mickiewicza w piaskowcu biały, a Słowackiego w marmurze czarny. Kochanowski wciąż jeszcze poszukuje swych prochów.

Poszum Plant mnie pożegnał słońcem i pogodą. Z nimi wróciłem do Przasnysza prawie na sam koniec roku szkolnego. Druga moja z abiturientami matura. Tę zapamiętałem znów przez swego najlepszego ucznia Grabowskiego. Pisał pracę pt. „Ostatni romantyk w LALCE Prusa”, którą zakoń-

czył taką puentą z „Kordiana” — I przejdzie przed nami, powitany uśmiechem, pożegnany łzami —. W tym „przejdzie” tkwi czas przeszły i teraźniejszy — dodał.

Ferie. Ponowny wyjazd do Piszczan. Tym razem wspólnie z Wujem Budzichem stajemy w Hotelu Royal. Leczę się u prof. Cmunta. Przepisał mi kurację nie tak intensywną, ze szczególnym zwróceniem uwagi na odpowiednie odżywianie.

Jako czwarty brakujący nauczyłem się grać w brydża. Ze zmiennym szczęściem, zależnie od kart i pecha. Żyję trochę towarzysko. Mam powodzenie u kobiet, ale z niego nie korzystam. Wbrew Wujowi, który chciałby z powodzenia skorzystać i nic z tego nie wychodzi. Nawet z twoją pomocą — mówi.

Skończmy z tym. Mam większe zmartwienie. Tadek nie zdał do I kl. Małachowianki. Antek słabo go przygotował z polskiego. To niech Wuj odda go pod moją opiekę. W szkole ja dopilnuję, a w domu żona da sobie radę. Poczciwy jesteś. Nic podobnego. Tylko spłacam dług, jaki przez moją szkolną młodość zaciągnąłem w mojej rodzinie z Wujem na czele.

Heni w prezencie z ukrytych oszczędności kupiłem torebkę damską z tygrysięj skóry. Nawet mi przez głowę nie przeszło, że przez nią w następnym roku tygrysię w tajniki sięgnę czarnej torebki.

Na razie ja jeszcze się liczę. Zamiast własnej tworzę z Tadekiem zastępczą rodzinę. Do Heni należą pierwsze skrzypce, Walercia w kuchni wtóruje perkusją talerzy i garnków. Do tego dochodzi basetla i bębenek. Bez harmonii tworzymy harmonię pod: jak wam się podoba.

Co innego w Szkole. Tam już na dobre ustalił się kwintet: Dyrektor dyrygent z jęz. polskim w tym roku w klasie maturalnej, ja pierwsze skrzypce w pozostałych klasach, altówka jęz. łacińskiego u Bazylego Ogłoblina i duet: jęz. niemiecki Marii Ogłoblinowej i jęz. francuski mojej żony.

Z pozostałych nauczycieli z wyjątkiem ks. Prefekta Kamińskiego inni w mojej pamięci za słabo się utrwaliли, żeby ich w tym opisanym roku należycie zlokalizować. Za to Woźny Stanisław Małkowski w ciągu moich 14 lat przasnyskich tak się nierozzerwalnie związał z Gimnazjum, że o rozdzieleniu nie ma co mówić. Był na każde skinienie Dyrektora wielce wymagającego, uprzejmy i usłużny wobec nauczycieli, zycziwy, i z przymrużeniem oka, w odniesieniu do uczniów. Radością jego życia była córka, jedynaczka.

Nic jeszcze nie pisałem o uczniach. W większości pochodzili ze wsi, z rodzin zamożniejszych gospodarzy. Na 50 zł. miesięcznie od syna czy córki nie każdy mógł się zdobyć. Były ulgi dla uzdolnionych a biednych, ale zbyt nimi nie szafowano. Uczniowie wyłazili ze skóry, żeby tylko promocję zdobyć. Mało którego stać było na stancję. Większość się gnieździła w izbach wynajętych, w warunkach trudnych do opisania. Łóżko przy łóżku i w łózkach po dwoje. Stół na dwie zmiany przy odrabianiu prac pisemnych. Zimą powietrze zageszczone, że mogłaby w nim siekiera zawisnąć. Jako wychowawca musiałem na to patrzeć i nie mogłem nic zaradzić.

W znacznie lepszym położeniu znajdowały się dzieci miejscowych mieszczan i urzędników. Byli zamożniejsi i mimo to więcej korzystali z ulg, niż dzieci ze wsi, chłopskie. Toteż synów i córki pchali do Gimnazjum na siłę, bez względu na uzdolnienia i chęć do nauki: słabo uzdolnione albo uzdolnione, ale bezkarnie leniwe. W związku z tym, ku oburzeniu przasnyszan, było wiele sporów o uczniów drugorocznych i poprawkowiczów.

Poziom umysłowy z tradycjami ciemnogrodu budził zastrzeżenia, a cóż mówić o tradycjach monachomachicznych, jakby, wypisz, wymaluj, wziętych z miasta, w którym — Było trzy karczmy, bram cztery ułamki; Klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki.

Piszę, nie bez przesady, klasztorów było tylko dwa: Pasjonistów od krzyża i Panien, co sypiały w trumnach. Za resztę starczy pobliski Rostków, gdzie się urodził Stanisław Kostka, młodzieniaszek święty z Zakonu Jezuitów. U Ojców Pasjonistów znajdują się jego relikwie. W farze odbywają się specjalne nabożeństwa ku czci tego św. Młodzieży. Większość pobożniejszych dziewcząt należała do Sodalicji Mariańskiej i miała własny sztandar, a samo Gimnazjum co niedziela, po sprawdzeniu listy obecności przez dyżurnego nauczyciela, zazwyczaj z wielką paradą, z trzema sztandarami: harcerskim, szkolnym i sodalicyjnym maszerowała na mszę świętą do kościoła farnego.

Ja nie grzeszyłem religijną gorliwością i z obawy przed dyskryminacją gratis uczyłem elewów ze Szkoły Pasjonistów, z których Ojciec Jacek i Ojciec Pius, z Mediolanu i z Neapolu, darzyli mnie łaskawą wyrozumiałością, w przeciwieństwie do tych, o których Krasicki mówi, że w nich wielebne głupstwo pokutuje. Zresztą i na tych, podobnie jak księżę poetów z perspektywy czasu patrzeć nie bez humoru, który nie uzbaja, lecz rozbaja.

Wówczas jednak tak patrzeć nie umiałem. Moje pokrętne nogi były sobą w oku nie tylko moim. Poczciwy ks. Dziekan wyraził się: „Zobaczycie, będzie niedługo na wózku jeździł”. A zacni parafianie i zwłaszcza nabożne dewotki dodali od siebie w domyśle: Bóg wie za co. Pobożnością nie grzeszy.

Tak nisko w ich oczach upadłem, że aż boję się o tym mówić.

Aryman mści się, nie wiem za co. Dobrnąłem do ferii i tym razem sam zdecydowałem. Jadę do Ciechocinka. W roku 20 tak mnie cudownie postawił na nogi, może i teraz się to powtórzy. Tyle dobrego słyszałem wówczas o doktorze Przeremblu, co pono jeszcze nadal leczy. Stary praktyk. Może wreszcie on rozgryzie mój reumatyzm. Nic podobnego. Z deszczu wpadłem pod rynnę.

Dla mojego serca reumatyka nie miał serca. Było sfatygowane, lecz nie chore. A mimo to uznał je za słabe. Przepisał głównie faszungi dla nóg. I to w niewysokiej temperaturze. Były dobre, póki aura sprzyjała.

A tu, podobnie jak w Busku, przyszły dni chłodne i wietrzne. Po jednej z takich kąpeli ziać mnie chwycił. Dzwoniąc zębami z gorączką dowlokłem się do willi Ormuzd. Nazajutrz obudziło mnie krzywe kolano, co już się nie wyprostowało. Zajął pozycję, której już nie opuścił. Oczywiście Aryman.

Za radą właścicielki udałem się do pobliskiego doktora Bornsteina. Pracował w Wiedniu, a na lato przyjeżdżał do Ciechocinka. Ten dopiero poznał się na moim reumatyzmie. Zakazał mi jeździć do uzdrowisk i zalecił sanatoria.

Zapalenie osłabił przez diatermie, zastrzyki z jadu pszczelego i przez kompresy spirytusowe. Nie zalecił jednak rzeczy najważniejszej. Należało po wygaśnięciu stanu zapalnego uśpić mnie i nogę wyprostować. Na świeżo.

Kuracja się przedłużyła. Wróciłem do Przasnysza dopiero pod koniec sierpnia. W oczach żony, chociaż mi tego nie powiedziała, wyczytałem: definitywnie stracone złudzenia. Jak na cię patrzą, tak cię widzą. Ceniła nade wszystko prezencję, a tu mąż wyraźne i dotkliwe zaprzeczenie.

Na wszelki wypadek warto pomyśleć o drugim mężu. Przecież 3 mam mieć.

Nożyce się odezwały. Początek roku. Posiedzenie Rady Pedagogicznej. Ledwie się zaczęło, a tu pukanie do drzwi. Dyrektorskie prośbę. Niższy, szczupły jak ja, lecz młodszy ode mnie Marian Strzemiński. Nowy Profesor

historii. Didaskalia. Nie wiadomo jeszcze do komedii? czy do dramatu? Na dwoje babka wróżyła. Na pierwszy rzut oka: Fircyk i Mefisto w jednej osobie.

Dyrektor mruga w moją stronę. Mojej żonie podobał się, bo zwrócił na nią uwagę. Przecież z prezencji Podstolina. Małemu Fircykowi zaimponowała wielka salonowa dama. Mnie dostrzegł dopiero, kiedy się dowiedział, że jestem jej niefortunnym mężem.

Uczniom zaimponował swoim tupetem. Mówił do nich per Pan i Pani. Z początku bez epitetu z rewerencją przy dobrych odpowiedziach, a następnie przy słabszych lub złych z perwersyjnym dodatkiem: Dureń Pan jesteś. Niedouk. Cymbał. Osioł skończony, lub: Gęga Pani jak gęś. Głupia Pani jesteś jak stołowe nogi – w porównaniach i po prostu: Czy kto Panią w tylną twarz kopnął, a nawet: Niech Panią diabli wezmą. Nikt się nie obrażał, bo przecież mówił do uczniów Pan, Pani. Traktuje ich tak, jak dorosłych.

Dla ruchliwości swojej szuka przestrzeni. Zaprzyjaźnił się z wysokim naszym matematykiem Filipem Łuczyńskim. Krążą po mieście. Składają wizyty. Trafili i do naszego samowystarczalnego i zamkniętego domu w znaczeniu towarzyskim. I dom ten naraz stał się otwartym. Gościnnym i osobliwym.

Rudin w skórze Fircyka i Świecznik Mussetowski z jednej strony, a z drugiej Telimena po zamążpójściu nie z Rejentem, lecz z Hefajstem rogaczem, cocu magnifique. Melodramat i farsa zarazem.

Przyjęcie imieninowe Pani Henryki z prezentami i z tańcami. Bal karnawałowy w Gimnazjum. Kotyliony wprost z Warszawy z Magazynu Francuskiego. Nowy przebój. Walc François. Żona modna już nie w objęciach Fircyka, lecz Mefista we fraczku. Tylko z tą różnicą, że ja za niego kuleję.

Pantoflowa poczta. Plotki, brednie puszczane w ruch obrotowy. Dwuznaczne spojrzenia. Udaję, że nie słyszę i nie widzę. Znajomi zaczynają mi się nisko kłaniać. Za nisko, żebym nie widział, jak sobie ze mnie dworują.

Nie wiem, jak to zmalretowany przeniosłem do Wielkanocy, kiedy ze wstydu zamiast do rodziców pojechałem do Mińska Mazowieckiego na święta. Po nich leczeniu sanatoryjnemu poddałem się w szpitalu im. J. Piłsudskiego, gdzie leczono mnie za pomocą mechanoterapii Zandra. Tam też wyrwano mi połowę zębów z kłami, bo lekarz uważał, że mój reumatyzm od zębów się bierze. W gorliwości jeden kieł wyrwał mi z kawałkiem szczęki.

Z tego piekła, do którego wtrącili mnie żona i jej adorator, z podniesioną gorączką uwolnili mnie na szczęście w nieszczęściu młodszy brat student

i siostra cioteczna Jadzia. Dwa dni normalnego odpoczynku w łóżku i powrót do Przasnysza. Na balkonie gruchają Romeo i Julia. Bez Gołębia. Zmiana sytuacji. Ja w domu, a oni paradują po parku, po Błoniu, Świerczewie. Wszędzie się dwoją. Przynajmniej w oczach moich. Asystować im nie chcę. Henrysia sprowadza więc matkę, Panią Dulską w drugim wydaniu.

Nareszcie koniec roku rozstajnego. Rudin po wetknięciu kija w mrowisko szkolne i w miejscowy grajdołek dzięki Dyrektorowi wyjeżdża z tego miasta podobno ongiś, nie bez metaphoritis elephantiasis, Paryża północy, żeby szukać nowych dla siebie podbojów. Za nim w tropy moja żona podążyła do Mińska Mazowieckiego, żeby romans dalej kontynuować.

Szukałem ratunku w słońcu i miesiącu słonecznych kąpieli na balkonie zupełnie mnie rozłożył i doprowadził do nocy koszmarnych. Groził mi obłąd. Nawiedzały mnie myśli samobójcze. Na szczęście uciekłem od nich do poezji. Dotychczas o niej milczałem. A przecież moje „niby wiersze”, jako pierwociny, sięgają wstecz do czasów uniwersyteckich.

Przez nie biblijne, lecz wojenne, szpitalne „Żywoty męczenników” zrodziła się we mnie koncepcja, żeby pisać o tych męczennikach fizycznie upośledzonych, którzy ocalili i wiodą kalikujący żywot jako inwalidzi.

Wracałem do nich i odchodziłem od nich. Sam stawałem się ich męczennikiem. Kryłem się z nimi, lecz Henia przez przypadek zeszyt odkryła i zdeprecjonowała moje płody poronione. Odkryła moje drugie kalectwo.

Rzecz zastanawiająca, wzbogacony psychicznie przez ból i cierpienie, męczenników częściowo wyzwoliłem z grafomaństwa i w ten sposób powstało dwunastu przysięgłych, oskarżycieli pierwszej światowej wojny.

Kilku z nich najlepszych wysłałem do „Wiadomości Literackich” do działu literacko-korespondencyjnego, prowadzonego przez J. Tuwima. Nie czekałem długo. Po dwóch tygodniach ukazała się nota. Warto pisać.

Nie mam dobrych nóg, lecz mam zadatek na skrzydła. Pofrunąłem na gołębich do matki i dzięki temu ostatecznie doszedłem do siebie. Wbrew własnej moralności, radziła mi zapomnieć o wszystkim i życie zacząć od nowa. Poszedłem za jej głosem. Przecież nie byłem pełnowartościowy.

Wróciłem wraz z Tadeuszem i na dodatek z jego bratem Zdzisiem do Przasnysza. Dom doprowadziłem do takiego stanu, w jakim był za jej najlepszych czasów. Sądziłem, że przyjedzie na moje imieniny. Nie przyjechała. Dopiero po dwóch tygodniach oczekiwania nareszcie się zjawiała.

Powitanie jak za dawnych czasów. Jakby nigdy nic. A ona w łóżku po

miłosnym stosunku rozkleiła się i od serca wyznała z niewymownym wzruszeniem, że Pan Marian przy pożegnaniu na stopniu wagonu padł na kolana i stopy jej całował. Odwróciłem się do ściany, jakbym w niej głową chciał szukać wzajemności. Łóżko zamiast nas złączyć, rozdzieliło.

Mało tego. Następnego dnia zwróciła się do Dyrektora z prośbą, żeby w planie dał jej wolne soboty. Nie otrzymała ich, a jednak z wyjazdów nie zrezygnowała. Aleksy Chmielowski nie był świętym Aleksym z legendy.

Uszczęśliwiona wyjeżdżała i wracała zrozpaczona. Jak Odeta Swanna karmiła mnie półprawdami. Z opanowanej stała się roztargnioną i jakby w poszukiwaniu tego, co straciła, modliła się do św. Antoniego.

Wyjątkowo została na niedzielę i rano przed pójściem do kościoła wyjęła tygrysią torebkę i zamiast niej zostawiła czarną z listami w szufladzie z przekręconym kluczykiem. W ten sposób poznałem corpus delicti jej grzechu. Kluczyk zginął bez wieści. Nie obeszło się bez wytrychu.

Po tygodniu wyjechała i już do Szkoły nie wróciła. Zrezygnowała z posady. Do mnie napisała, że doprowadziłem ją do rozstroju nerwów swoim niepoczytalnym postępowaniem. Jak sam pogospodarzę, to dopiero zobaczę, ile jest warta. Przecież nie mogę jej odmówić, że o mnie, jak mogła, tak dbała.

Tymczasem dzięki niezawodnej Walerci porządek w domu pozostał dawny, a kuchnia nawet na tym zyskała, bo więcej mnie i chłopcom odpowiadała. Zginął dawny dystans. Zbliżyłem się do nich, bo miałem więcej czasu.

Szkoła też na tym zyskała, bo stała się główną ostoją nie tylko w godzinach lekcyjnych, lecz i poza lekcyjnych. Odezwały się we mnie Warszawa teatralna z czasów studenckich i Kraków z dziedzina wawelskiego.

Na pierwszy ogień poszła „Odprawa posłów greckich”. Małą scenę zaimprowizowałem we wnęce drzwi wiodących z sali gimnastycznej do pokoju nauczycielskiego. Scenografię do tego przedstawienia zaproponował i wykonał nasz uczeń Zagroba. Wkrótce umarł. Zagrobny został mi tylko Album.

Przedstawienie, poza scenografią oklaskiwaną, godne albumowego utrwalenia. Szczególnie w chórach. W trzecim z nich, który greckim przygania, odezwał się we mnie z „Aidy” Radames, który kraj zdradził.

Chórzystki na stopniach sceny obrazują przód okrętu. Powiązane dłońmi z dwoma pierwszymi przez wysunięte złożone dłonie tworzyły dziób nawy. Najwyżej stojąca reją podniesionych rąk krzyżuje maszt, wsparty przez drugą chórzystkę, o stopień niżej przed nią.

Kiedy rytmicznie recytowały „O białoskrzydła morska pławaczko”, wioślowały rękami. Rozbity na głosy chór był w miarę liryczny, w miarę epicki, a w ostatniej strofie zdecydowanie dramatyczny.

Z ról zindywidualizowanych na czoło wysunęła się Herrówna, jako Kassandra. Z włosami zwichrzonymi wieszczka, czarownica, wiedźma w jednej osobie. Dramatyzm autorski z roli wydobyła lepiej niż niejeden aktor ruty-nowany. Przeszła samą siebie i bezpowrotnie znikła jako awanturka.

Intermedium. Nieoczekiwanie w maju zjechała moja wiarołomna. Jawa czy sen? Nie ma wątpliwości. Witamy się. Chłód wieje nie tyle od niej, co ode mnie. Widocznie przypuszczała, że przyjmę ją z otwartymi ramionami. Przecież była w prowadzeniu domu niezawodna. A tu musztarda po obiedzie.

Przez trzy dni mieszkaliśmy razem. Ja w sypialnym, a ona w stołowym. Ani słowa o Panu Marianie. Po trzech dniach odprowadziłem ją do autobusu. Pocałowaliśmy się na pożegnanie. Pomachałem ręką w powietrzu. Ona głową skinęła. Tak pożegnaliśmy 5 rok, pono decydujący, naszego związku małżeńskiego.

Po siedmiu latach, które w życiu moim zakończyły się domową klęską, następne siedem doprowadziły kraj nasz do klęski wrześniowej. To nie były lata ze snowidzu biblijnego Józefa. Chude rzucały się w oczy, a tłustych jak na lekarstwo. Mniej niż mało.

Te dwie siódemki są samoistne i zarazem odrębne. Polonista w nich jakby się rozdzielił na polonistę z powołaniem pedagogicznym i na polonistę z powołaniem mieszanym, pedagogicznym i poetyckim zarazem.

Do tej różnicy dochodzi jeszcze druga: lata pierwszej siódemki wyodrębniły specyfikę poszczególnych lat, a w drugiej jakby zlewają się z sobą. Wyżywam się w nich więcej przez życie pozaszkolne: najpierw przez związany ze szkołą teatr, a następnie przez poezję wyrosłą z osobistych zainteresowań, przeżyć i doświadczeń.

Dzięki pomocy Komitetu Rodzicielskiego zmontowałem w auli rozbieraną scenę, na której w pierwszej kolejności po rocznicy Kochanowskiego zagrała w mej pamięci zakodowana „Warszawianka” Wyspiańskiego, którą związałem z setną rocznicą listopadową.

Dwie panny grające na fortepianie i śpiewające wywiązały się jako tako. Pruska jako Maria była kasandryczną inaczej niż Herrówna. Bardziej boleśna, rozdarta w sercu dziobem Orła Białego.

Niestety, Chłopicki i generałowie zawiedli. Wódz, w gronie statystów podkomendnych, oszołomiony retoryczną grą, zapomniał, że ma się na scenie poruszać. Jeszcze gorzej wypadł Wiarus. Solski go unieśmiertelnił, a mój uczeń ukatrupił. A więc niewypał. Śmiech na sali. Druga alternatywa z dwóch: dziś twój tryumf albo zgon. Nic podobnego. WESELE.

Z wielkim nakładem sił moich i uczniów. Ono też listopadowe. Przecież w 5 dni po bronowickim ja się urodziłem. Po moim scenicznym niewypale dramat inteligencko-chłopski: niewypał powstaniowy.

W roli niezapomnianej najlepszy mój uczeń, Kostecki, jako Stańczyk. Miałem prawdziwą Rachel – Różę Różaner. Chłopcy i dziewczęta przechodzili samych siebie. Lecz nie oni zdecydowali o powodzeniu spektaklu, tylko sceny zespołowe z drugiej połowy aktu trzeciego. Kilka razy kurtyna podnosiła się w górę, a taniec pod granie Chochoła wciąż się kręci. Pary z szopki narodowej nie kukielkowe, lecz żywe.

W zniewolonym Krakowie, mimo swobód narodowych, stańczykowskich, widownia milczała, a u nas wyzwolona z niewoli biła brawa spontaniczne, mimo że od zachodu chmury złowrogie zaczęły rosnać na potęgę.

Zachęceni sukcesem pojechaliśmy do Ciechanowa. I tam nas przyjęto z nie mniejszym aplauzem. Przy ostatnich brawach zgasło światło. W ciemności słyszę głos Doktora oftalmologa: — Widziałem „Wesele” w Krakowie, wam oddaję prym. Podziwiam adaptację. Dopiero przez młodzież pojąłem, jak ono jest prawdziwe i piękne zarazem.

To przasnyskie „Wesele” po wielu latach jeszcze raz odezwało się we mnie w Mławie. Poznał mnie i zatrzymał kapitan wojska polskiego Wiśniewski, który jako uczeń buntował się przeciw roli Chochoła, a teraz dłoń mi serdecznie ścisnął za niezapomniane przedstawienie: — Ono było najpotężniejszym przeżyciem moim z czasów gimnazjalnych.

Ja się przez teatr z młodzieżą wyżywałem w życiu pozaszkolnym i mogło się wydawać, że to się źle odbije na wynikach w nauczaniu, a tymczasem tak wyjątkowej matury nigdy drugiej podobnej nie miałem.

Delegatem z ramienia Kuratorium był znany z surowości polonista Jakubowski. Ten nie tylko nie obniżył żadnej mojej oceny, lecz w dowód uznania cały szereg ocen podwyższył. Między innymi Anki Wierzbickiej. Poppełniła dwa błędy na rozłącznie, które wkrótce potem zaczęto pisać łącznie.

Z Anką Wierzbicką miałem wiele kłopotu jako wychowawca. Nie miała rodziców, tylko babkę w małym domku na Zawodziu. Bardzo lubiła wizyty swoich kolegów. Przasnysz na tym punkcie, ze względów młodzieżowo kul-

towych, był szczególnie uczulony. Z tej przyczyny zmuszony byłem tę stancję częściej inwigilować. Czyniłem to jednak głównie z obowiązku, bez przesady.

Tymczasem do mojej klasy przybył nowy uczeń Majkowski, zdolny, otrząskany. Wierzbicka wpadła mu w oko. Zaczął jej okazywać względy i odwiedzać w różnych godzinach. Sprawa nabrała na rozgłosie, dotarła do Dyrektora i stanęła na Radzie Pedagogicznej.

Nauczyciele tradycyjnie zaangażowani domagali się, żeby przez surowsze oceny Anki nie dopuścić do matury. Ja nie dopuściłem do tego. Po sesji wynotowałem jej oceny słabsze i zobowiązałem Majkowskiego, żeby się nią pod tym względem zajął i z amatorami na razie dał spokój. Pojął, o co chodzi i Anka Wierzbicka otrzymała świadectwo dojrzałości z mojej wychowawczej ręki ze słowami: Moją ocenę Delegat Kuratorium podniósł ci do dobrej. Spojrzała na mnie spode łba, jakby chciała rzec: Dobryś sobie.

Zniknęła z moich oczu. A jednak w dwa lub trzy lata potem wróciła do mnie w zgoła innej wersji podczas konferencji polonistów z Warszawy i z Województwa. Podczas obrad zabrałem głos, nie wiem, na jaki temat, bo konferencja wylęciała mi z głowy. Za to utrwaliła się przerwa dzięki Profesorowi z Wyższego Studium Pedagogicznego. Znów nie pamiętam nazwiska.

Podszedł do mnie i zapytał: Czy pan jest Gołębiowskim, polonistą z Przasnysza? Przytaknąłem. A miał Pan uczennicę Ankę Wierzbicką? Oczywiście. Pana Anka na dyplomowym egzaminie pisemnym wybrała temat: „Mój ideał nauczyciela”. Bez wymienienia nazwiska zaczęła pracę od słów: „Nienawidziałam go. Był dokuczliwy, krzychał na mnie, babkę przeciw mnie stawiał, chodził po piętach” i jeszcze coś było o złym prowadzeniu się. „Nienawidziałam go, a dziś uważam mojego wychowawcę Stefana Gołębiowskiego za niedoścignięty ideał nauczyciela.” Resztę pomijam, same pozytywy. Koniec: W sam raz do tematu.

Nikt tak wysoko nie ocenił we mnie wychowawcy i polonisty zarazem. Przecież w jej pracy dyplomowej walczą ze sobą prawda wychowawcza z polonistyczną, zbliżoną do literackiej.

Przez wyjątkowy teatr, przez wyjątkową maturę i wyjątkowy koniec ferii wyjątkowo nabrałem ponownie wiary w siebie. Przez drzewa ojca, kwiaty matki zbliżyłem się do natury. Atmosferycznie zacząłem oddychać.

☞ Nie bez wpływu Tuwima, który wtedy dla mnie krajobrazowo się zaczął od „Rzeczy czarnoleskiej” i pewnie dzięki niemu z przyszłej „Biblii cygańskiej” w odpustowe Przemienienie Pańskie pojawiła się „Muza” aptekarzowa.

☞ Nazywała się Tuzińska, a była nie tuzińska. Uosobienie kobiecości, wdzięku, kuszących powabów pełna. Coś z pani de Rênal. Mąż z argusowym okiem Cyklopa. Drugie miał szklane.

☞ Uznała mnie za mężczyznę w całym tego słowa znaczeniu, jakby moje nogi nic nie pozostawiały do życzenia. Darzyła mnie sympatią i uczuciem, którego nie zaznała w pożyciu z mężem. Całowała kwiaty i podawała do całowania. Z niewinną przewrotnością kobiecą.

☞ Toteż zieleń nigdy nie była tak zielona, jak przy niej i śpiew ptasząt nigdy nie był tak liryczny, jak przy niej. Najszczęśliwsze trzy tygodnie, chociaż w nich nie było ani jednego pocałunku rzeczywistego.

☞ Pamiętam w Starym Rynku rozstanie. Ona w oknie na piętrze, a na parterze mąż w drzwiach. Ona pragnęła, żeby mnie za wszelką cenę zatrzymać, a on niecierpliwie czekał, żebym jak najprędzej odjechał. Ona biegnie z synkiem na rękę od okna do okna aż do ściany poprzecznej z balkonem zamkniętym. Wyfrunąć za mną nie może. A on jak Cyklop ginie w głębi jaskini swej apteki. „Na zawsze, na zawsze zostanie twarz w szybie odbita jak w kliszy.” Odjechałem. Niezupełnie. W ślad za mną ruszyła Muza Aptekarzowa, nie groteskowa, jak Tuwimowa, lecz rzeczywista. Dzięki niej zacząłem pisać podług własnej recepty wiersze naoczne i zaoczne.

☞ Wracam z Tadkiem do Przasnysza. Zaczął się nowy rok szkolny. Nie mogę o nim, jak i o następnym, wiele powiedzieć, bo barwy się zatarły. Należały do poezji. Barwy i światła w niej zapanowały wbrew zmierzchom łagodnym i pochyłym ceniom, które się snuły za mną powiązane z poetyckimi.

☞ Tuwim od dynamicznego klasycyzmu „Rzeczy czarnoleskiej” i Pawlikowska od kobiecej matematyki natchnienia „Pocałunków” – pierwszymi inspiratorami, mimo że od Wierzyńskiego wzięłem podniętę do pisania wierszy krajobrazowo-lirycznych, bez euforii wiosny na rzecz lata, słońca i pogody.

☞ W tym i nie w tym stylu w ciągu niespełna dwóch lat napisałem wiele wierszy, z których wybrałem wiązkę 50 najlepszych. Tytuł dla tego cyklu wzięłem z Norwida – „Kłos słońca” z aluzją do kłosu jedyne go z „Trenów”.

☞ Ten „Kłos słońca”, żeby sprawdzić jego wartość, wysłałem 2 maja 1935 r. w dzień imienin mego starszego brata, co zginął bez wieści, wraz z małym listem nie bez soli attyckiej, do Juliana Tuwima. A już 4 maja

otrzymałem listek, co się zaczynał od słów: „Drogi Poeto! Gdzie chcesz, możesz drukować...”. Dalej nie pamiętam. Było coś o Wierzyńskim, któremu mnie polecił.

Maj 1, 2, 3, 4 i 12. Radość nieopisana i do nieopisania smutek. Śmierć i pogrzeb Marszałka przysłonił wszystkie pogrzeby, jakie w życiu przeżyłem. Lechoń o nim listopadowym z roku 1918 napisał najpiękniejszy wiersz z „Karmazynowego poematu” jedyny, niekarmazynowy: „A on mówić nie może, mundur na nim szary”. Mówić nie może ze wzruszenia – oto dziś dzień krwi i chwały wyzwolony, niepodległy – i mówić nie może: zamilkł, jakby w przewidywaniu wolności tragicznej. Nie tylko z poematu Wierzyńskiego.

Przeceniany i niedoceniany. Tymczasem prawda tkwi in medias res. Przecież dzięki niemu rozbiorami rozdarte ciało Ojczyzny na nowo się zrosło nie w sposób cudowny, lecz przez państwowość naszą.

Przeciwstawił się reakcji i nie dopuścił do zwycięstwa sił reakcyjnych. Żeby im się nie poddać, wybrał kompromis, jak musiał wybrać kompromis w odniesieniu do mniejszości narodowych. Dążył do zjednoczenia narodu. A jak ten naród zjednoczył, najlepiej dowiódł wrzesień 39 roku.

Nawet i w błędach swoich okazał się dalekowzroczny. Skompromitował mocarstwową Polskę w wyprawie na Kijów przez nawiązanie do unii jagiellońskiej i w ten sposób stworzył format granic Polski, z której przez przesunięcie granic ze wschodu na zachód rdzenny piastowski powstała Polska Ludowa, bez mniejszości narodowych. Z gwarancjami niepodległości.

Był wodzem narodu, nie bez nowotworowych przerostów panujących we Włoszech, w Niemczech, w Hiszpanii i nawet w ZSRR. U nas jeszcze nie tak krańcowych. Od łyczka do rzemyczka. Od parlamentu do Berezki Kartuskiej.

Ten schyłek wątpliwej wartości przysłonił całego Piłsudskiego, który od Maciejowic z naszych klęsk powstańczych i z klęsk trzech zaborców umiał w odpowiedni sposób skorzystać i klęskom przeciwstawił zwycięstwo.

A on mówić nie może, bo nie pasuje do naszego ustroju.

Wracam do szkoły. Nienasycony jako polonista wciąż siebie eksploatowałem w lekcjach, a za mało szukałem siebie w uczniach. Ograniczać siebie to było najtrudniejsze zadanie. Sami uczniowie mi w tym pomogli.

Punktem wyjścia dla mnie stała się książka. Kto książek nie czytał i źle pisał po polsku, nie mógł mieć u mnie oceny pozytywnej. W książkach się

kryje drugie psychiczne życie człowieka. One wzbogacają nasze przeżycia, wzbogacają język, środki wyrazu, poszerzają osobowość ludzką, poszerzają horyzonty i wiodą do pracy twórczej poszerzających ksiąg skarbnice.

Obowiązkowe czytanie książek i jego kontrolę stawiam na pierwszym planie. Wybieram z fabuły węzłowe sytuacje, sceny frapujące, ciekawe, przełomowe momenty z życia bohatera, postaci charakterystyczne, sceny zbiorowe i obyczajowe, chrzciny, wesela, pogrzeby, doroczne święta...

Przy takich książkach, jak „Pan Tadeusz”, „Nad Niemnem”, „Lalka”, „Potop”, „Ludzie bezdomni”, „Chłopi” już na 2 tygodnie lub na miesiąc przed ich rozbiorem zostawiałem ostatnie 5 min. lekcji na sprawdzenie książki, którą uczeń już przeczytał. Takim, którzy jej w całości nie przeczytali, dawałem możliwość zrehabilitowani się przy dyskusji problemowej.

Problemy uczniowie zapisywali na tablicy i razem ze mną wybierali istotne dla utworu i zgodne z zainteresowaniami młodzieży. Po czym następował podział na grupy, które mają przygotować materiał pod dyskusję.

Ingerencja nauczyciela w egzekwowaniu musiała być na tych lekcjach znaczniejsza, gdyż tego wymagał program z historii literatury. Są to przecież utwory należące do lektury obowiązkowej. Co innego na lekcjach literatury uzupełniającej. Sytuacja się odwraca. Nauczyciel schodzi na plan dalszy, jako rzeczoznawca, a na plan pierwszy wysuwają się uczniowie. Nie z mojej woli, lecz z ich głosu po wejściu moim do klasy: My dyskutować chcemy, a Pan Profesor niech uważa i słucha.

To się zdarzyło na lekcji, na której omawialiśmy „W cieniu zapomnianej olszyny” Juliusza Kadena Bandrowskiego. Aż do 3 godzin lekcyjnych wydłużył się program rozbioru, po którym klasa zdecydowała wysłać list opracowany pod redakcją wyróżniającej się uczennicy III kl., Cieślińskiej.

Z książki tej sama klasa, bez mego udziału, wysunęła cały szereg zagadnień, z których wybór padł na pięć następujących: 1) Skąd tytuł „W cieniu zapomnianej olszyny”? 2) Jakie było życie Gucia, czy on był szczęśliwy? 3) Czy wychowanie matki było lepsze od ojca? 4) Dlaczego Tomasz nie chciał usługiwać chłopom, chociaż sam był chłopem? 5) Czym był Tańczus w rodzinie?

Do tych pytań dwóch pierwszych podaję passus odpowiedzi z listu:
— W cieniu zapomnianej olszyny stała matka, którą uznaliśmy za symbol życia spokojnego, gdzie prym dierży miłość i dobroć. Droga pędzący po niej chłopcy – to ludzie ścigający się w wyścigu życia.

Jeśli z kolei chodzi o wychowanie ojca i matki, to chłopcy byli stanowczo za wychowaniem ojca, a dziewczęta się wahały. Przy czym klasa doszła do wniosku, że ojciec ze względu na dobro dzieci więcej kierował się rozumem, a matka – więcej sercem. Zatem do pewnego stopnia uzupełniali się.

Przez z górą miesiąc czekaliśmy na odpowiedź i dopiero przy bilansie roku nadeszła. Była, jak pamiętam, obszerna i wyczerpująca. Niestety list z moją skrytką nauczycielską przepadł bez wieści, jak też książki, które z tym listem autor do nas wysłał. To był tryumf klasy i mój nad sobą zbyt często narzucającym się i rozgadany.

Poza lekturą obowiązkową i nadobowiązkową uczniowie prowadzili dzienniczki lektury. Obowiązywała jedna książka na tydzień, a z taryfą ulgową dwie na miesiąc. Zapis zależał od ucznia i jego upodobań pod warunkiem, żeby był rzeczowy i odpowiadał przynajmniej na jedno wybrane zagadnienie.

Raz na miesiąc uczniowie dzielili się uwagami o książkach przeczytanych i w ten sposób jedni drugich zachęcali do czytania. Raz na kwartał sprawdzałem dzienniczki lektur w domu. Brałem je pod uwagę przy ocenach wahających. W takich wypadkach były one jęczyzkiem u wagi.

Książki kochałem i miłość do książek wszczepiałem w uczniów. Kto nie czyta książek, ten nie jest i nie będzie moim uczniem. Jeśli w mieszkaniu jego nie ma książek, to wyrzekam się takiego ucznia. To były moje zasadnicze przykazania książkowe.

Ze szkolnej opowieści przechodzę do pieśni domowej. Dzięki Tuwimowi zadebiutowałem w „Skamandrze” i moje wiersze zaczęły się ukazywać w takich czasopiśmie, jak „Tygodnik Ilustrowany”, „Pion”, „Okolica Poetów”. Rangę moją podniósł K. Wierzyński, który w niedzielnych numerach „Gazety Polskiej” obok Staffa i Leśmiana drukował także moje wiersze.

W roku 1936 przyjęła wiersze ode mnie Hanna Mortkowicz-Olczakowa, a zaopiniowali do druku Staff, Leśmian, Pawlikowska, Wierzyński. Po czym nakładem Towarzystwa Wydawniczego w roku 1937 ukazał się mój debiutowy „Kłós słońca”, mój złoty kubek słońca na przekór sobie i katastrofistom. Contra spem spero.

Po końcu roku debiutowego rok następny i styczniowy numer „Skamandra” otwierają moje „Pieśni drzewne”. Cykl wierszy lirycznych aluzyjnych związanych z drzewami. Wbrew leśnym, są to drzewa zindywidualizowane.

Było to szczytowe osiągnięcie moich poezji międzywojennych. Z debiu-

towego lata zstąpiłem do jesieni wiosnami gasnącej, wzbogaconej formą dekastychicznego małego sonetu.

Szkoła wpadła w twórczość. Szkoła pochłania twórczość. Szkoła i twórczość są morzem i rzeką. Na przemian. Nie mówię nic o ich wielkości, ale panta rhei wyzwalane odgrywa rolę decydującą.

Rok znów minął, jak z bicia trząś i znów matura. Delegatem Kuratorium jest Dyrektor Nieć z Mławy. Śmiało możemy z Mławą współzawodniczyć. Prym, tak się już w Przasnyszu utarło, wiedzie na przemian z Dyrektorem polski. Po nim zaraz należy wymienić historię. Wyróżnia się w niej jako młody obiecujący nauczyciel dr Jan Szwarz. Nieco starszy od niego matematyki uczy Filip Łuczyński, po wojnie Dyrektor i Wizytator szkół warszawskich – niestety przedwcześnie zmarły. Jęz. łacińskiego i niemieckiego (ze mną od 13 lat), jak wiadomo, uczą Ogłoblinowie. Kadra fachowa i ustabilizowana.

Wśród maturzystów jest również Tadeusz Budzich. Osiem lat z nim spędziłem w moim życiu przasnyskim najtrudniejszych. Po odejściu mojej żony na dwóch łóżkach sypialiśmy głowa w głowę.

Musiał istnieć jakiś przedustanowiony sojusz między nami, czego dowodem były, nie bez mojej inspiracji, jego ballady, które jednak porzucił na rzecz zainteresowań naukowych.

Umiał dzwonek tak naprawić, że kiedy słabo dzwonił, przestawał dzwonić lub rozkładał mechanizm źle chodzącego zegarka i zegarek przestawał chodzić. Nie irytowałem się. Przyjmowałem to z humorem, ubawiony.

Majsterkowanie to nic wobec innych pomysłów niedorzecznych. Między innymi wdrapał się na budynek gospodarczy i jak ze spadochronem skakał na dół. Dla brata Zdzisia to się źle skończyło. Po roku dostał zapalenia mózgu i nieoczekiwanie, źle na inną chorobę leczony, umarł.

Tadek należał do najzdolniejszych uczniów w klasie i chociaż zbytnią pilnością nie grzeszył, przez czynny udział w lekcjach uczył się lepiej niż niektórzy pilniejsi w domu.

Świadectwo dojrzałości otrzymał z wynikiem dobrym. Tak się słabo zaczęła, a tak się dobrze skończyło. Na bal maturalny Wujostwo z Brudnic przyjechali do Gimnazjum, żeby razem z synem pierworodnym dzielić radość.

Tadek jest moim bratem wujecznym, ale ze względu na różnicę wieku nazywał nas Wujkiem i Ciocią. Na tym balu skończył się Wujek i został

tylko brat. Ciocia przepadła raz na zawsze, z kretesem. Przecież Ciocią nie była. Tadek w eskadrze angielskiej jako myśliwiec walczył przeciw nalotom bombowców na Anglię i wstąpił się w walkach w obronie Tobruku. Obecnie słynie z wynalazków w dziedzinie hamulców pneumatycznych.

Nowy rok szkolny, jak się po roku okazało, ostatni już bez Tadeusza, zaczynam z Miciuśką, jego młodszym bratem. W szkole grono nasze nauczycielskie wyjątkowo odmłodziło.

Dyrektor wysłał żonę do Zakopanego i con amore wybrał w korcu maku kandydatek trzy Gracje: Helenę Podhajską od francuskiego, Izabelę Łaszczyńską od geografii i Janinę Sienkiewicz, drugą polonistkę. Pierwsza zawiedziona w miłości, druga już prawie Bujakowa, trzecia na odległość z żonkosiem. Wszystkie na pokuszenie.

W oko wpadła mi pierwsza. O lat 13 młodsza ode mnie, a więc trzymałem się od niej z daleka. Ona jednak wołała mnie od niemal równego wiekiem historyka i od starszego ode mnie uwodziciela w osobie samego Dyrektora.

Oczarowała mnie swoim uśmiechem i głosem o intonacji oszmiańskowileńskim. Mieszkała oddzielnie z polonistką w internacie dla dziewcząt na Zawodziu. Tam je nieraz odprowadzałem drogą okólną przez park. Spacer te do siebie się upodobniły i tylko jeden się wyróżnił i utrwalił.

Złota jesień polska szumiąca nad głową barwami. Z jej poszumu wyszliśmy, przy dziś już nie istniejącym kościele św. Ducha, pod gwiaździste niebo. Przed nami droga do mostu. Księżyc w pełni głowę oparł na młynie, też dziś nie istniejącym. Drugi z poświęcą tonie w wodzie. Jeden w złotym, a drugi w srebrnym welonie. Jeden będzie w górę sunąć coraz wyżej do zenitu, a drugi w dole coraz głębiej będzie tonąć w toni bezdennej. W ten sposób powstały od Heleny moje helenie „Dwa księżyce”.

Dzięki Wierzyńskiemu, w którego podówczas wierzyłem i on we mnie wierzył, w świątecznym numerze „Gazety Polskiej” z Bożym Narodzeniem zegnałem dwuznacznikiem miłości rok stary i witałem, jak się później okazało, wieloznacznym Nowy Rok.

Ten rok już w dwóch pierwszych tercjach był w sobie tak skłócony i sprzeczny, że Szkołę w pamięci mojej zepchnął na plan dalszy. Żyłem w niej, by zwało się, że żyłem. Jakbym przewidywał pożegnanie Przasnysza bez powitania w nowym roku szkolnym.

Borykanie się z sobą i z nastrojami przedwojennymi doprowadziło mnie do ostatniej tercji, w której nastąpił nokaut krwawy na skalę światową najpierw po 1 sierpnia 1914 roku, a następnie po 1 września 1939 roku. 25 lat minęło od jednego do drugiego i wydawało się, że będzie na tym koniec. A tu tymczasem widać, że nie brak takich potęg, co z kolei po dwóch 25-leciach w imię pokoju z pozycji siły szykują się do trzeciego.

* * *

Pierwszy wrzesień zaczął się od piorunów z jasnego nieba. Nie od Jowiszowych, lecz od nieludzkich. W uzbrojeniu nieboskie niebo ziemi piekłem zagroziło. Niewzruszone domy straciły swoją pewność. W niepewności ludzie z nich uciekali i na próżno szukali pewności w domach cudzych.

Ja też w powszechnym popłochu porzuciłem Biezuń i przez Sierpc, Mochowo ruszyłem do Płocka. Stąd w prawo do Gostynina, a następnie w lewo od Łącka do Gębina, gdzie nas zatrzymały naloty, z których ledwie cało wyszedłem. Chciałem uniknąć niebezpieczeństwa i niebezpieczeństwu wyszedłem naprzeciw.

Przez lasy Łąckie, usiane niepogrzebanymi ciałami poległych, wróciłem z powrotem, łodzią przez Wisłę, do Płocka, a stąd okazyjnie przez Bielsk, Lelice, Sierpc do Biegunia już jako Jan Smutek.

Jakby za karę domem własnym niedługo się cieszyłem. Po rozejściu się z żoną miał być moją własnością i dlatego wszystkie moje oszczędności wkładałem w kapitalny remont domu, stodoły ze spichrzem oraz w ogrodzenie sadu z ogrodem sztachetami i siatką z drutem kolczastym.

Dzięki temu (!) cała posesja spodobała się żandarmerii i zostaliśmy wysiedleni do domu narożnego naszej Zamkowej ulicy ze Starym Rynkiem. Było to mieszkanie z mienia porzuconego, zapluskwione, zaszczurzone, pod każdym względem pożałowania godne, podobnie jak nasze zasoby i fundusze.

Na szczęście znaleźli się uczniowie żądni nauki z rodzicami gotowymi przyjść nam z materialną pomocą. Do pierwszych należał z pałacu Staś Ilski, Laura Żulewska i Halina Przysiecka z Brudnic. Do nich wkrótce doszłusowali koledzy, Tadeusz Kołodziejski i Stanisław Lipiński. Od nich się zaczęło moje tajne nauczanie.

W wigilię Bożego Narodzenia po prawie czteromiesięcznej tułaczce z Włodzimierza Wołyńskiego ku wielkiej naszej radości przybyli cało i zdrowi mój młodszy brat i jego żona Krysia.

Rodzina nasza się powiększyła i powiększyły się nasze niepokoje. Komplikowało sprawę moje tajne nauczanie. Już nie mnie samemu groziły restrykcje, lecz także bratu i jego żonie. Mniejsze żonie, bo chodzi z dzieckiem, gorzej z bratem, bo może być wzięty na roboty. Na razie całe wyżywienie spoczywa na mojej głowie. Wszystkich starań dokładałam, żeby było go pod dostatkiem. Nawet starcza na lekcje zaawansowanego w niemieckim mojego brata. Kandydatów do mojego tajnego nauczania nie brak.

Przez to moje gimnazjum od kl. II do IV i przez liceum, prowadzonych jednoosobowo, przeszło obok 5 wyżej wymienionych aż 16. Większość przez całe 5 lat, a pozostali 4, 3, 2 i najmniej rok byli moimi uczniami.

Podaję ich imiona i nazwiska: Lila Nadratowska, Alek Radzymiński, Teresa Żulewska, Danuta Przysiecka, Mietek i Renia – Wujeczni z Brudnic, trzy Marchlewskie: Halina, Irena, Janina, Eugeniusz Przybyszewski, Henryk Cecelski, Halina Osowska, Maria Elżanowska, Zygmunt Szymański, bracia Kubińscy, imion nie pamiętam, dochodzili z Karnyszyna.

Podaję ich imiona i nazwiska, bo należenie do tajnego nauczania i to w Ostpreussen, Bezirck Zichenau (Ciechanów), Kreis Sichelberg (Sierpc) in Lauffen (w Bieżuniu) wymagało wielkiej odwagi, a cóż mówić na stopniu średnim. Użyłem słów za wielkich przez perspektywę czasów podyktowanych.

To nie był odwaga. To była nieustanna gra, bez reżysera, a jednak intuicyjnie reżyserowana w ten sposób, że sukcesami oślepiiony wróg w mojej pracy nie widział dla siebie bezpośredniego zagrożenia. Przecież nie należałem do żadnej tajnej organizacji, nawet nauczycielskiej. Byłem samoszyją, tzn. sam kładłem głowę pod ewangelię.

Zawierzyłem szkole i ona mnie nie zdradziła. Przasnysz gimnazjalno-licealny przenieśli do Bieżunia nie jako, w żargonie uczniów, Hefajstos, lecz jako Atlas dźwigający całą szkołę na swoich barkach. Uczyłem wszystkich przedmiotów, oprócz gimnastyki i rysunków. A kiedy pytano: Czy to nie za wiele? Odpowiadałem na pół serio, na pół żartem: I to nie na prostych, lecz krzywych, jakie wyniosłem z uzdrowisk.

W mojej szkole obowiązywał dawny przedwojenny program i obowiązywały dawne wysłużone podręczniki, przynoszone na lekcje w chustkach,

w ścierkach, w torbach z warzywami lub nabiałem na wierzchu. Dla niepoznaki.

W tej szkole na poziomie stał oczywiście polski z historią i geografią, matematyka z chemią (zwłaszcza nieorganiczną), słabiej fizyka i biologia. Z języków, przez doksztalcanie się na wyższy poziom, podciągnąłem łaciński, z obcych nowożytnych jęz. francuski znałem lepiej niż niemiecki. Za to więcej uczyłem wierszy i piosenek.

Jak się potem okazało, nie na próżno. Nie wiadomo kto nastął żandar mów. Uczeń przy oknie zauważył, że idą w stronę naszego domu. Natychmiast polskie książki jak kamfora znikły. Zamiast nich pojawiły się podręczniki niemieckie. Przy dźwiękach mandoliny i niemieckiej piosenki pojawili się żandarmi. Wesołość i ogólne rozbawienie wzięli za dobrą monetę i pożegnali nas jednym słowem: Gut.

Obowiązywał plan tygodniowy z ilością godzin lekcyjnych zgodną z programem przedwojennym. Lekcje odbywały się bez pauzowania, żeby wszystkie klasy mogły się zmieścić od godziny 8. do 16, a nawet 18, zależnie od pory roku, z godziną przerwą na obiad.

Uczniowie prowadzili zeszyty prac z poszczególnych przedmiotów, systematycznie kontrolowane przeze mnie. Z przedmiotów, w których obowiązywały prace pisemne, miałem po dwie klasówki na kwartał.

Oceny wpisywałem do dzienniczków. Uczniów klasyfikowałem co kwartał i promowałem z klasy do klasy. Zasadniczo wszyscy przechodzili do klas następnych. Ferie letnie uczniowie mieli bez poprawek.

Poziom mojego tajnego nauczania był taki, że wszystkich dalej uczących się bez egzaminów na podstawie moich ocen Dyr. Zofia Gałęska przyjęła do Gimnazjum i Liceum w Sierpcu, gdzie należeli do uczniów zaawansowanych.

Mieli odwagę uczyć się. Oni i ich rodzice wierzyli w szkołę polską. Ja ich tego uczyłem na miarę sił swoich i ograniczonych możliwości.

Po okrutnej jak okupacja zimie, co wymroziła większość drzew w naszym ogrodzie, nadeszła wiosna straconych złudzeń: okupacja Danii, podbój Norwegii, zajęcie Holandii, wtargnięcie do Belgii i cztery daty czerwca: 5, 14, 22, 25. Cztery gwoździe do krzyża walecznych Francji: przełamanie linii obronnej, upadek Paryża, zawieszenie broni i kapitulacja Petaina. Dwadzieścia dni upadku, które wstrząsnęły światem. Po tym czerwcu jakże inaczej spojrziałem na nasz wrzesień.

Wojna nie wiadomo, kiedy się skończy. Pierwsza światowa trwała cztery lata, a ta zanosi się na jeszcze dłużej. Nie ma innej rady, trzeba się jako tako ustabilizować. Mój brat zgłasza się do Gemeindeamtu in Lauffen i zostaje przyjęty głównie jako tłumacz.

Na ten temat nie rozmawialiśmy. Urodził mu się syn. Ojciec dziecka i rodziny powinien zarabiać, inaczej wyślą go do robót albo wysiedlą w góry. Zresztą i moje tajne nauczanie też stało pod znakiem zapytania. Przy różnego rodzaju poszlakach pozycja brata również i mnie kryła.

Po klęsce Francji popadliśmy w depresję. Dopiero na nogi postawiła nas okupacja szczurów. Nastąpiła ona po rozbiórce domów opuszczonego mienia, w którym pono folksdojczy z hitlerowcami poszukiwali złota.

Wtargnęły do domów mieszkalnych i zaroily się w naszej wielkiej piwnicy, zbudowanej na wzór pałacowej, skąd przez dziury w starej podłodze wtargnęły do kuchni. Z perkusją garnków, pokrywek i fajer wdarty się do stołowego, gdzie zaczęły w otomanie, na której spała Matka, na zwiniętych strunach harfy sprężyn grać natarczywie. Matka podniosła alarm.

Cały dom stanął na nogi i po pacyfikacji 13 szczurów stało się naszym łupem. Następnej nocy 7, po niej 5 i rozmaicie, aż do trutki na szczury, co je wytepiła doszczętnie.

Mój brat w tych walkach zaciętych przewodził i nienawiścią je podsycił. W ten sposób wyszliśmy z depresji po kapitulacji Francji i zarazem kolaboracji petainowskiej.

Na szczęście czerwiec z upokorzeniem Paryża po roku ruszył na Moskwę. Oczywiście na szczęście w nieszczęściu. Odezwał się po wolnościowym ludobójczy Napoleon, który po znacznych sukcesach Moskwy jednak nie zdobył. Brat wstąpił do podziemnej organizacji wojskowej, i co z tego wynikło, w rok potem jest nie do powtórzenia.

Po tych słowach wczorajszych umęczony zasnąłem, żeby u kresu nocy, na jawie, przeżyć sen ku pokrzepieniu serca. Ja, który do snów nie przywiązuję większej wartości i moje sny na wiatr idą, przeżyłem sen wyroczny.

Śniło mi się, że nie mam w sobie ani kropli krwi, a jednak końce palców przestały być martwe, dobrze czuję je w dotyku, czuję puls w rękę, pod piątym zębem serce, myślą w trzech czasach żyję i czas przezwyciążam. Przez krew, którą bracia moi przelali, żyję i żyć będę.

Bez brata mieszkanie w Rynku straciło rację bytu. Zaczęliśmy szukać odpowiedniejszego. Wówczas z pomocą przyszedł nam Stryj Stanisław.

Z domu w którym mieszkali Stryj, Stryjenka i ich syn Tadeusz, co razem z moim bratem pracował, odstąpił nam drugą połowę.

Był to po dziadkach nie istniejący już piętrowy drewniak z ogródkiem i z budynkami gospodarskimi na zapleczu. Na dole mieszkała Matka z synową Krysią i z jedynym wnukiem Jędrusiem, a na górze ja miałem pokój, w którym jednocześnie odbywały się lekcje.

Tam przez ostatnie trzy lata wojny z domu jedynie wychodziłem do ogrodu. Do miasta nigdy. Sam siebie uwięziłem dla dobra mojej szkoły i dla dobra moich uczniów. Dzięki nim stałem się jedynym żywicielem rodziny.

Jak w różańcu paciorki dni były do siebie podobne. Z nich powstawały tygodnie, miesiące. Zmieniały się pory roku, chociaż też były podobne w swej zmienności. Lata dziejowo brzemienne, a tak ubogie w moim życiu osobistym.

Wiadomości do mnie docierały jedynie z drugiej ręki, nim doszło w walkach nad Wołgą do bitwy pod Stalingradem. Po czterdziestu dniach przełomowych Rewolucji Październikowej, mniej i więcej, w 25 lat później 200 dni przypieczętowane bojami pod Stalingradem – po raz drugi wstrząsnęły światem i ostatecznie zdecydowały o zwycięstwie II wojny światowej.

Kłęska ta wyraźnie osłabiła Rzeszę i zmobilizowała wszystkie fronty antyhitlerowskie, wykluczyła Włochy i osłabiła działania wojenne Japonii. W związku z tym ożywił się u nas ruch podziemny i wzmożyły represje wroga. Z krwiożerczych stały się ludobójcze. Likwidacja 70 000 getta warszawskiego tego wymownym dowodem. Przypieczętowało ją powstanie, jedno z najtragiczniejszych, bez pardonu lub z podpalonymi skrzydłami chałatów skakali judejczycy w dantejski lej wielkanocnego piekła bez zbawienia.

Zwycięstwa wroga pociągały za sobą represje, a klęski bynajmniej nie osłabiały ich, lecz przeciwnie, potęgowały. To już nie walka z frontem podziemnym, ale bezprzykładne pastwienie się nad ludnością cywilną.

Obława na upatrzoną zwierzynę. W kotle wśród strzelaniny przez przypadek, być może jakiegoś żandarma, ginie folksdojcz z Żuromina. Nie ząb za ząb. Za jednego ma życiem zapłacić 17. Obława na nich w torfowiskach, gdzie pracowali chłopci z Dębska, Sadłowa i Olszewa przy torfie, żeby się zaopatrzyć w opał na zimę, powiodła się nadspodziewanie. Znaleźli kryjących się w błocie, utyłanych „winowajców” popełnionej zbrodni.

Po przeprowadzonej selekcji dwa auta, ze skazańcami i z zakładnikami, dojechały do Bieżunia i stąd ruszyły w stronę Sierpca. Zatrzymały się jednak

na 5 km przy zagajnikach i jako leśnym polskim bandytom polecono tym z pierwszego auta wysiąść i biec po szosie. Wówczas zagrały automaty esesmanów i 17 kryjaków, co chcieli odbić zakładników, zginęło. Dla spotęgowania grozy i zatuszowania zbrodni rozpowszechniano różne nieprawdopodobne historie o ludziach, co byli Bogu ducha winni.²⁾

W mroku okupacyjnej nocy podwoły przywiozły pomordowanych do Bieżunia. Ciała ich złożono w bocznej kaplicy kościelnej. Doszedł do mnie przez sen turkot i z tym turkotem usnąłem. W nieświadomości.

Dopiero o świcie przez zamknięte okno usłyszałem kwilenie. Ptaka? nie, dziecka? Potem do jednego z nadwodnej mgły dołączyły się zawodne. Przeszły w skomlenie, w jęk, z którego wydarł się głos rozpaczy: U drzwi Twoich stoję Ojcze, Synu... Mgły płacz rozdarł i głosy umilkły.

Dzień lipcowy skwarny, duszny i za-duszny do południa włókł się jak smoła. Po południu chmury się skłębiły i nadsięgnęła burza. Wśród błyskawic, grzmotów, w piorunach tarabanów na furi załadowano ciała pomordowanych i powieszono do mogiły na cmentarzu zbiorowej, z ziemią zrównanej. Tylko niebo wzięło udział w pogrzebie. Deszcz był tak rześisty, że lży w nim zginęły.

Jeszcze z deszczem nie obeschły, a tu od pól z wieścią wreszcie nadeszła Polska Ludowa. O wieści gminna, tyś jest arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty. W tobie zagrał na słonecznych skrzypcach Dwudziesty Drugi Lipca. A imię jego... 44.

Zgodnie i wbrew niemu lipiec się skończył i wybuchło powstanie warszawskie, z krwawych najkrwawsze. Z męczeńskiej stolicy ocalała jedynie ręka bezbronnej Nike pięciu palcami strzelająca w niebo. Do nieba ziemi podległego, żeby się przebić w ocaleniu do niepodległego.

Niepodległa po Warszawie do nas przyszła w dwa dni później, żeby w moich oczach literackich spełniły się dwie niedomówione kropki (..) 19 stycznia 1945 r. Nikt w dzwon nie uderzył. Dzwonów nie było.

Zima, a ja tu na białym śniegu sadzę wiosnę. Ja jedną tylko taką wiosnę miałem w życiu.

* * *

Nomen omen – Hefajstos wbił obuchem klin w głowę samorodnego Jowisza i zamiast Ateny wyskoczyła Szkoła. Wiezie mnie z Mławy Laurowej (od Żulewskiej) maturalnej Wuj Budzich, autorytet, co się zowie, w rodzinie.

Bryczka na wybojach podskakuje i w podskokach myśli zwracam się do Wuja: — Jak może być w Strzegowie, to w Bieżuniu też możliwa, lecz jak tu otwierać szkołę średnią, bez budynku, bez niezbędnego sprzętu, bez wyposażenia w pomoce naukowe i bez kadry nauczycielskiej na jakim takim poziomie. Przy takim bez, trudno i darmo, nie zakwitnie bez.

A Wuj to bierze całkiem na serio: — Wierzę w takich, co zaczynają od małego. Czekasz na wielkie? Nie doczekasz się, a jeśli doczekasz się, to w wielkim się zgubisz i siebie nie odnajdziesz.

Pomyślałem, nie żaden rozumny szalem romantyk, lecz trzeźwy pozytywista. A tu pcha się nowa rzeczywistość pełna nieoczekiwanych możliwości. Śmiałym odwaga sprzyja. „Kto idzie naprzód, dojdzie do celu, choćby sto strachów stanęło na drodze.” Odezwał się we mnie Franek Rakoczy Orkana.

Skontaktowałem się z ówczesnym Wójtem Stanisławem Dyksińskim, ludowym działaczem społecznym i późniejszym literatem, autorem „Chustki Weroniki”. Przyjął mnie z otwartymi ramionami i sprawę wziął do serca. Stał się przez transmisję kołem napędowym. Niezawodnym w działaniu.

Bieżuń stanął po naszej stronie. Znaleźliśmy uzasadnione poparcie w Kuratorium Okręgu Szkolnego warszawskiego u Naczelnik Jankowskiej i zwłaszcza u władz szkolnych powiatu sierpeckiego w osobach Inspektora Czesława Bandurskiego, podinspektora Zwolińskiego i ludowego związkowca Franciszka Midury, bliskiego mi przez tajne nauczanie.

Wrzesień w pełni. Rok szkolny nagli. A tu ze szkolnym budynkiem kłopoty. Nie ma wyboru. Tylko z mienia porzuconego. W Starym Rynku narożnik z ulicą Warszawską. Dawniej mieściły się w nim sklepiki żydowskie, w których więcej było drzwi niż okien. Sklepiki długie, ciemne, zagracone. Dobrze pamiętam starego Gerlica. Chodziłem do niego po śledzie i naftę. Niemcy zlikwidowali te sklepiki razem z Żydami. Drzwi od Rynku i od ulicy Warszawskiej, prócz frontowych, zginęły. W ścianach okna przysłonięte firankami. Zamiast sklepików, sale i pokoje karczemne.

Dla Polaków wstęp wzbroniony. Karczma nur für Deutsche. Tutaj przy półlitrowce folksdojczom i konfidentom rozwiązywały się języki. Kto u kogo bywa, kto świniaka zaszlachtował, jak dobrze się obłowić cudzym kosztem — były na porządku dziennym. Po prostu karczma dla ludzi karczemnych.

Te właśnie pomieszczenia dzięki staraniom Komitetu Organizacyjnego i Komitetu Osady Bieżuń przez miejscowych murarzy, stolarzy i malarzy zostały wyremontowane i odmalowane. Przygotowane do wymagań szkolnych.

Rodzice uczniów w posagu wnieśli ławki, Komitet Rodzicielski zadbał o tablice i katedry. Krzesła, taborety z gminy i z prywatnych mieszkań, biurko z mienia opuszczonego i stół dla pokoju nauczycielskiego: na moim małym stole blat sporządzony z niemieckich okiennic – uzupełniały cały inwentarz ruchomy szkoły. Nad wyraz prymitywny.

Nareszcie prawie że w połowie października uroczyste otwarcie Szkoły. Z orkiestrą strażacką na czele pochód po ulicach Bieżunia. Patronem naszego Samorządowego Gimnazjum Władysław Orkan. Dlaczego Orkan? Gdzie Krym, a gdzie Rzym? Co mają wspólnego podhalańskie Gorce z mazowieckimi od pól kwiaty polskie? Piękno górskiego krajobrazu z równin ubóstwem?

Orkan biedocie bliski przez wieś i wiejskie ubóstwo, przez komorników i wyrobników, przez nowiny, odzimki, zagony wąskie, miedzom pokrewne, jak we Franka Rakoczego widzeniu, rzecznikowi szczęśliwej gminy.

Gimnazjum rozwojowe. Na początku dwie klasy i dwa ciągi w nauczaniu: semestralny dla klas I i II i roczny dla klasy II. Po dwóch latach ciąg semestralny został zlikwidowany. Utrzymał się jedynie roczny.

Poza klasami przestrzeń ograniczona. Niewielki hol z korytarzykiem wyjściowym. Przy holu pokój nauczycielski i z nim związany mały gabinet dyrektora. Przy szkole niewielki dziedziniec dla młodzieży podczas pauz, apeli i okolicznościowych zebrań, jeśli pogoda nie stoi na przeszkodzie.

Baza jakże skromna. Dwie klasy, najwyżej trzy. Nie ma widoków na przyszłość. Sytuacja w kraju nieustabilizowana. NSZ-owcy zdewastowali sklep i okna wystawowe. Sklep się przeniósł do domu gminnego, a ja tymczasem zająłem opuszczoną, pierwotną z mienia, piętrową kamienicę pod dwie klasy na parterze i dwa mieszkania dla nauczycieli na piętrze.

Już szkoła jako tako w pięciu klasach się mieściła, lecz sprawa rekrutacji była nadal otwarta. Bez internatu nie ma mowy o dalszym rozwoju. Ograniczyć się do Bieżunia i pobliskich wsi to zamknąć jak żółw w skorupie.

Stoi pustkami dom modlitwy przy bożnicy. W czynie społecznym przeprowadzamy w nim kapitalny remont i w ten sposób zyskaliśmy dwie sale dla internatu żeńskiego oddzielone długim korytarzem od kuchni i stołówki.

Przy tym tak się szczęśliwie złożyło, że przedszkole znalazło większy budynek w Starym Rynku i myśmy opuszczony zajęli na użytek internatu męskiego: 4 izby pod piętrowe prycze i dwie mniejsze na poddaszu.

Był to samotny budynek z placem po domach zburzonych. Uczniowie klas starszych plac ten własnym przemysłem ogrodzili, wychowawcy z klasami splantowali, a rodzice nawieźli żwirem. W ten sposób powstał plac sportowy dla gimnastyki, gier i zabaw, dla koszykówki i piłki nożnej.

Brakowało jeszcze sali gimnastycznej. I tę się udało stworzyć w sąsiednim drewniaku po skasowaniu wyeksmitowanego piętra. Z naszej inicjatywy, przy niewykorzystaniu sum na kapitalne remonty przez inne szkoły.

Nowa sala, wyposażona w parkiet, stała się nie tylko gimnastyczną. W niej również odbywały się uroczystości szkolne, zebrania rodzicielskie, świetlicowe sobótki taneczne i zabawy taneczne, poprzedzone lekcjami tańca.

Dzięki stałej rozbudowie po pięciu latach i po pierwszej maturze, kiedy cały szereg szkół średnich wiejskich nie wytrzymało próby czasu – została Orkanówka upaństwowiona. Wreszcie niepewność stała się pewnością.

Nie było jednak tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. Szkoła miała dwa skrzydła: jedno dłuższe, narożne, parterowe, a drugie krótsze, ale za to piętrowe. Skrzydła te, chociaż przyziemne, wymagały połączenia.

Brak połączenia jednego budynku z drugim, zwłaszcza przy szarugach jesiennych, przy zawiejach śnieżnych, przy dokuczliwym mrozie i podczas roztopów przedwiośnia, dawał się we znaki i na szwank narażał zdrowie.

Czekać latka aż przyjdzie pięciolatka? Czas nagli. Rady innej nie ma. Trzeba samemu wziąć się do pracy. Plan i pozwolenie na budowę zdobyłem prawem kaduka dzięki bezinteresownemu architektowi z Sierpca.

Fundusze Komitetu Osady Biezuń, nakłady Komitetu Rodzicielskiego i społeczeństwa, pomoc nauczycieli i praca społeczna przy fundamentach, jak też przy gromadzeniu materiału budowlanego razem zjednoczyły nas zbiorowo i w ten sposób stanęły mury do piętra.

Powstała inwestycja bez funduszków inwestycyjnych i z ominięciem prawa weszła do remontów kapitalnych. Bez żadnego przedsięwzięcia. Systemem gospodarczym bliźniacza piętrowa kamienica stanęła przy pierworodnej.

W ten sposób powstała na parterze jedna z większych sal lekcyjnych z korytarzem, a na piętrze znalazły pomieszczenie dwie pierwsze pracownie: fizyko-chemiczna i biologiczna jako tako wyposażone w pomoce naukowe, jednakże bez zaplecza gabinetowego.

Nareszcie Szkoła w samej sobie się skupiła i w samej sobie się znalazła. To było jej główne osiągnięcie i zarazem kres budowlanych możliwości. Dla dalszego rozwoju, niestety, zabrakło przestrzeni życiowych.

Tyle trudu, samozaparcia, żeby ostatecznie zamknąć się jak żółw we własnej skorupie. Tyle przemożnych sił nie na miarę Fidiasza, lecz krawca w dodatku prowincjonalnego. Mea culpa! Byłem za mało przewidujący.

Szkoła przerosła siebie i w szwach pękała. Krażenie uczniów po korytarzu podczas pauz odbywało się na zasadzie krażenia robaczkowego. Toteż sprawa budowy szkoły licealnej stawała na ostrzu noża z powiatem, dla którego Liceum w Bieżuniu było solą w oku.

Zacząłem od małego i niewiele brakowało, żebym się w małym nie zgubił. Małe przy aspiracjach rozwojowych coraz mniej pasowało do rzeczywistości narastającej ilościowo i jakościowo. Najlepiej to widzieli wizytatorzy, którzy oceniali naszą szkołę w porównaniu z innymi, pokrewnymi. Baza i wyniki w nauczaniu i wychowaniu w stosunku odwrotnie proporcjonalnym.

Nadbudowa stała po naszej stronie. Szkoła rosła i uczniowie rośli razem ze szkołą w trudzie pracy fizycznej, która towarzyszyła pracy umysłowej w czasach odbudowy i rozbudowy naszego kraju.

Pionierami tej Szkoły byli przede wszystkim nauczyciele, którzy podejmowali ciężką orkę na ugorze przez wieki nie uprawianym. W terenie pod każdym względem zaniedbanym, wymagającym nieustannych wyrzeczeń.

Mnie to łatwiej przychodziło, bo się w Bieżuniu urodziłem i od dziecka wychowałem. Inni do daleko idących ograniczeń, szczególnie kulturalnych, nie tak łatwo się przystosowali. Chciałem przykładem świecić, a to nie zawsze mi się udawało. Za bardzo byłem autorytatywny i impulsywny.

Do tego jako nauczyciel prawie wszystkich przedmiotów z czasów tajnego nauczania nie pozwalałem sobie w kaszę dmuchać. W lekcjach szukałem inwencji u nauczyciela, pracy uczniów i pracy nad uczniami.

Z pierwszych jako dobry organizator na uznanie zasługuje nauczyciel z przypadku Jan Poradowski. Do szkoły wniósł z powstania „serce w plecaku”. Pieśń tę spopularyzował na lekcjach gimnastyki marszowej. Był spiritus movens życia naszego. Szkoda, że po roku porwał go wiatr od morza.

Matematyki i historii uczył Bronisław Oleksiak, późniejszy wizytator szkół w Kuratorium Olsztyńskim. Nauczyciel, samouk z lat wojny,³⁾ z dobrym przygotowaniem pedagogicznym, które pogłębił w oflagu dla oficerów.

Język angielskiego i biologii uczyła Stefania Budny, doktor filologii polskiej⁴⁾ i magister romanistyki. Jako demokratka ze sfer wyższych nie żałowała swoich umiejętności i starań w pracy pedagogicznej na wyższym poziomie niż to się zwykle spotyka.

Sama miała uzdolnione trzy córeczki. Odznaczała się kulturą osobistą i towarzyską, niezrównaną w konwersacji. Górowała w małym gronie poziomem inteligencji wyniesionym ze środowiska ziemiańskiego o postępowych tradycjach.

Wyróżniała się, mimo że o wyróżnienie nie zabiegała. Po trzykroć nie. W obcowaniu pogodna i uprzejma, umiała mówić i milczeć znacząco. Za blisko była swego majątku. Z konieczności po roku odeszła do Sopot.

Słowa pamięci i uznania należą się również osobom dochodzącym, nauczycielom Szkoły Podstawowej. Przede wszystkim jej Kierownikowi Wiktorowi Sadkowskiemu, który uczył w klasach semestralnych historii i nauki o Polsce współczesnej. Oddany Szkole całym sobą, wychowawca dzieci i młodzieży w całym tego słowa znaczeniu. Mieszkał w drugiej połowie mego domu. Ściany nas nie dzieliły, lecz łączyły. Odszedł przedwcześnie.

Geografii uczyła Olga Matkowska, która po latach, chociaż do Kartuz odeszła, do ostatnich dni swego życia o Gimnazjum w Bieżuniu pamiętała. Po przełomowych dniach sierpniowych zawięła się i odeszła.

Obowiązki Sekretarki Szkoły bezinteresownie przejęła na siebie Zofia Lechowa. Skromna, obowiązkowa, aptekę godziła z Gimnazjum w pierwszych krytycznych latach istnienia szkoły średniej w Bieżuniu.

Po odejściu Pani Budnowej jakby na nowo zazębiły się lata przedwojenne z powojennymi. Jako repatriantka z Podhajskich Drobot wróciła ze Związku Radzieckiego, z rodzinnej Oszmiany. Z matką i małym synkiem.

Spragniona słowa polskiego sięgnęła u swojej starszej siostry na Żoliborzu do stosu gazet i przypadkowo trafiła na mój artykuł wysłany do redakcji „Robotnika” z inspiracji wielkiego przyjaciela naszego Gimnazjum Wizytatora Henryka Kołackiego. Była to moja pierwsza wypowiedź i jedyna pod wielce wymownym tytułem „Od karczmy do Gimnazjum”.

Pod artykułem moje imię i nazwisko. Zaintrygowana na chybił trafił napisała do mnie list. Niezwłocznie odpowiedziałem. Spotkanie nastąpiło w Bieżuniu. Przypomniałem dawną z Przasnysza obietnicę. Jeszcze się wahała, ale ostatecznie wyraziła zgodę, chociaż miała inne lepsze propozycje.

Bywa w wielkim małe i bywa w małym wielkie. Na odeszłej Heni i na Pani Helenie to się sprawdziło. Drobną, niepokazną, sama o sobie mówiła Mała, bo taki przydomek, drugie imię własne, wyniosła z domu jako najmłodsza. Od matki wzięła serce, od ojca ambicje poszukujące i niezależne.

Pracowaliśmy razem, z rokiem przedwojennym, lat 20 – aż do mojego rozstania się ze Szkołą. Przez nią umacniałem w gronie kolegów swoją po-

zycję jako Dyrektor i dzięki niej podolałem zadaniom, jakie życie przede mną postawiło. Nie tak piękna, ale była moją Piękną Heleną.

Była moją prawą ręką dyrektorską i nie przestawała być przede wszystkim nauczycielką, Pierwszą Nauczycielką mego życia dyrektorskiego. W dwóch językach: francuskim i rosyjskim, walczących ze sobą o pierwszeństwo.

Lekcje знаła na pamięć i jednocześnie improwizowała, gdy na takie tory sprowadziły ją odpowiedzi uczniów. Bez szkody dla całości jednostki lekcyjnej. Wyzuta ze schematyzmu i z bezduszości.

Dzięki dobremu przygotowaniu, pogłębionemu przez lekturę nadobowiązkową z Biblioteczki Rusycysty Szkolnego i dzięki ciągłemu czytaniu prenumerowanych gazet i czasopism radzieckich jej absolwenci nie mieli żadnych trudności, żeby dalej studiować. Dowodem tego rusycyści na różnych szczeblach nauczania w promieniu trzech najbliższych powiatów.

Piszę to bez przesady, w poczuciu odpowiedzialności miarodajnej, chociaż nieraz ze mną się nie zgadzała i w sprawach spornych nieraz stawiała po stronie kolegów i w ten pośredni sposób sytuacje rozładowywała.

Szczęśliwy przypadek skierował ją do Bieżunia. Nie jedyny. W sytuacji niestabilizowanej wartościowi nauczyciele krążyli po kraju, szukali oparcia, angażowali się i opuszczali Bieżuń za mały dla wyższych aspiracji. W ten sposób przez zbieg okoliczności zdołałem zatrudnić takich nauczycieli, jak Eugeniusz Terlecki jako matematyk, umysł ścisły i ścisłego myślenia pełnomocnik, ze stolicą związany, Józef Reda, gimnastyk, z żoną od fizyki, po zdobyciu pełnych kwalifikacji przeszli do szkół średnich łódzkich, Stanisław Brzozowski, organizator pracowni chemicznej, późniejszy Dyrektor Technikum w Żurominie, Barbara Warmuzińska, polonistka co się zowie, później związana z Liceum w Milanówku, dwóch Czaplejewiczów, z których Eugeniusz, wybitny polonista, obecnie filolog związany z Uniwersytetem Warszawskim.

Przy nich lub po nich dopiero powstał trzon Szkoły kadrowo już bardziej ustabilizowany, związany ze mną aż do odejścia na emeryturę, nauczycieli młodych, dopiero co po ukończonych studiach wyższych.

Przed wszystkim Adolf Panek, politycznie zaangażowany, historyk umiający łączyć zainteresowania historyczne z wychowawczymi, późniejszy inspektor szkolny w Żurominie, po mnie Dyrektor Liceum w Bieżuniu, obecnie pracownik naukowy i wychowawczy filii Politechniki Warszawskiej

w Płocku. Niełatwy do zgryzienia dla takiego, co ma słabe zęby lub ich nie ma.

Nieodłącznie z nim związana, nie tylko jako żona, Janina Panek, nauczycielka biologii, zorganizowała pracownię biologiczną. W wymaganiach swoich dążyła do unaukowania przedmiotu zgodnie z wymaganiami bardziej ambitnymi niż przeciętne. Darzyła mnie szacunkiem, chociaż wierzyła, że mąż jej szkołę lepiej poprowadzi. A kiedy przekonała się, że to nie jest sprawa tak łatwa, wróciła do rodzinnego Płocka, gdzie dla siebie na stałe znalazła odpowiednie warunki do pracy i do wyższego wykształcenia synów.

Przez cały szereg lat matematyki uczył Tadeusz Twarogowski, mój uczeń uzdolniony z klas semestralnych, urodzony bieżuniak. W odrabianiu lekcji wymagał samodzielności aż do przesady. Czuwał nad stancjami i pozaszkolnym sprawowaniem się młodzieży. Ofiarnie pracował i angażował się, kiedy zachodziła potrzeba walki o byt i o przyszłość Szkoły. Mocno stał przy szkole i przy swoim zdaniu, bezwzględny w swoich opiniach. Dbał o poziom matematyki w Liceum i uczniowie się z nim liczyli. Miał szansę, żeby zostać dyrektorem, ale zadarł z powiatem przy walce o Szkołę i przez powiat nie awansował. A potem awansować nie chciał i nie mógł, gdyż wlaź w skórę gospodarza. Przeszedł do intratnej hodowli kur.

Wreszcie do tej kadry stałej należał Bogumił Kuczkowski. Miał szansę wykoleić się, a przez Szkołę w Bieżuniu życie swoje ustabilizował. Jako nauczyciel chemii i fizyki naukę w szkole wiązał z kształceniem samego siebie. Po nieukończeniu studiów z chemii uzupełnił maturę, odbył studia zaoczne z fizyki i uzyskał magisterium. Z uczniami, u których wzbudził zainteresowanie, umiał współpracować, szczególnie w kółku zajęć pozalekcyjnych.

Wymagał częstszej kontroli. Deptałem mu po piętach, Nie lubił mnie, mimo że na egzaminie maturalnym z jęz. polskiego odegrałem pewną rolę w taryfie ulgowej. Ożenił się z byłą swoją uczennicą i wyjechał do Płocka. Tam ma swój dom i tam pracuje. Odwrócił się od tego, z czego wyszedł.

Był jednak nauczyciel, od którego ja się odwróciłem. Przez czas dłuższy pracowało u nas małżeństwo polonistyczne. On chciał być orłem, a ona orłem nie była, ale tak się złożyło, że w pracy żonę więcej ceniłem niż męża, chociaż mąż miał większe szanse w rozwinięciu skrzydeł. Stać go było na więcej, ale i to, co dawał, jeszcze było na jakim takim poziomie.

gorzej przedstawiała się rzecz z Biblioteką Szkolną, której inwentaryzację tak przeprowadził ślamazarnie, że praca musiałaby się wydłużyć na lata

całe. Na tym podłożu doszło między nami do scysji. Wobec moich niezbitych argumentów znalazł się w kropce i nie widział innego wyjścia, jak tylko sesję opuścić. Bóg z nim! Rozeszłoby się po kościach, ale on na dobitkę rzucił jeszcze półgłosem dwa słowa, które, niestety, Rada Pedagogiczna zaszkokowana podchwyciła: „Świnia kulawa”.

Jeszcze bym tę świnie przetrawił, przecież się jada mięso świńskie i kotlet wieprzowy cieszy się nie lada powodzeniem w jadłospisie naszym, ale żeby odebrać mojemu kalectwu godność ludzką. Tego nie mogłem przetrawić w swoim zatwardzeniu. Musiał opuścić Szkołę.

Zatwardzenie minęło. Żołądek mój psychiczny nie jedną gorszą obelgę musiał strawić i ta też poszła w zapomnienie, ale przez życzliwość dla jego żony, którą kochał, przypominam to świństwo jako mimowiedne. Bez imienia i bez nazwiska. Sam ich ściągnąłem do Bieżunia i przez odwołanie się do Kuratorium spowodowałem, że z Bieżunia odeszli.

Było to moje jedyne odwołanie się do Kuratorium. Oczywiście przy moim autorytatywnym charakterze z kolegami nie brakło konfliktów na podłożu ich pracy w Szkole – mógłby złośliwiec powiedzieć – zgodnie z kultem jednostki.

Spięcia, starcia i zatargi na podłożu uprawnień i obowiązków istniały, lecz dzięki memu samokrytycyzmowi i taktowi Pani Heleny potrafiłem je sam rozwiązywać bez interwencji władz odgórnych.

Toteż w gronie nauczycielskim panowała zdrowa atmosfera sprzyjająca wychowaniu i nauczaniu. Ta atmosfera była czynnikiem decydującym zwłaszcza w dorocznych planach dydaktycznych i wychowawczych.

Nie mam przekonania do planów nadmiernie rozbudowanych. Bezdušnością przypominają mi one sztukę dla sztuki. Takie właśnie plany zajmujące całe ściany widziałem na jednej z konferencji dyrektorów w Otwocku. Nic dziwnego, że jakiś ortograficzny futurysta napisał na tablicy kredą, alias swoje credo. W podsumowaniu tego planowania: tfurczość.

Nasze Gimnazjum, a następnie Liceum, w tej materii podobną gorliwością nie grzeszyło. Staraliśmy się, aby planowanie pomagało realizacji zadań i przez przymus nie ograniczało inwencji i swobody. Grawitowaliśmy w stronę złotego środka pomiędzy swobodą i przymusem w wychowaniu i nauczaniu.

Szkoła jednak nie zamykała się w planach jednorocznych. Plany roczne wiązały się ze sobą przez cele perspektywiczne. Brały one za punkt wyjścia wysuwanie na plan pierwszy jednego celu, zasadniczo praktycznego, i po

jego generalnym wcieleniu w życie przechodzenie do następnego z uwzględnieniem pierwszego. Następnie do trzeciego z uwzględnieniem dwóch pierwszych. I tak da capo ad finem jednego roku po drugim i trzecim...

W ten sposób narastały dni, tygodnie, miesiące, okresy, półrocza. Cykl zamykał koniec roku szkolnego. Następny wracał do poprzedniego. Pogłębiał słabiej zrealizowane założenia i dodawał nowe.

Wszystkim tym celom różnym wynikającym z nauczania i wychowania przewodził cel nadrzędny: wychowanie przez pracę umysłową w powiązaniu z fizyczną. To powiązanie nadbudową rosło przy pracy nad budową szkoły.

Bez tej pracy z młodzieżą wątpię, czy szkoła średnia w Bieżuniu wytrzymałaby próbę czasu. Sprzyjała jej specyfika, co wiązała się bezpośrednio ze specyfiką wsi, w której praca rąk tradycyjnie odgrywała rolę decydującą. Syn i córka od dzieciństwa z tą pracą się stykali, a przez szkołę w innych niż nasza warunkach zazwyczaj się odrywali.

Szkoła starała się ten związek podtrzymać nie tylko przy budowie szkoły, lecz także przy porządkowaniu otoczenia szkolnego i w utrzymaniu w klasach i na korytarzu czystości. Wychowywała przez pracę w czynach społecznych przy budowie dróg, sadzeniu lasów, pomocy przy wykopkach i w innych pracach użyteczności społecznej mojego terenu.

Sama praca umysłowa młodzież łatwo od domu odsuwa, a przez jej wiązanie z pracą fizyczną do domu przybliża i nie zatracą z nim osobistego kontaktu. Dzięki temu nasi uczniowie nie wysferzali się. Nie wstydzili się swoich rodziców. Dotychczas o tym świadczą żywe kontakty z domem rodzinnym.

Miłością do rodzinnego gniazda ja sam dawałem przykład i głęboko wierzę, że po emigracji ze wsi do miasta w wieku XX nastąpi z kolei emigracja do wsi w wieku XXI. Oczywiście pod warunkiem, o ile poziom kultury materialnej na wsi do tego stopnia się podniesie, że mieszkanie będzie dawało więcej zdrowia i wygod niż w mieście. Poza tym wieś naturalnie zbliży się do miasta poziomem przez komunikację, oświatę i ogólną kulturę.

To, co napisałem o łączeniu pracy fizycznej z umysłową, którą uważałem za anteuszową specyfikę mojej szkoły średniej, nieoczekiwanie dla mnie okazało się, że jest podstawową problematyką Wiejskich Ogólnokształcących Szkół Średnich przy Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Jego pierwszy Zjazd pod przewodnictwem Dyr. Groszyńskiego z Godzianowa odbył się w Łądku, który nazwałem PrzyŁądkiem Dobrej Nadziei utrwalił się w mojej pamięci dzięki referatom wprowadzającym Jana Barteckiego i dyskusjom, które najczęściej otwierał i kończył Dyr. Mazur. Z tego powodu dał mi asumpt do napisania fraszki: Dyskusja to taka figura, co się zaczyna i kończy od Mazura.

Cała strona organizacyjna spoczywała w energicznych rękach Kazimierza Jędrzejczyka. W willi ZNP poznałem i zaprzyjaźniłem się z Wincentym Dankiem z Krzeszowic, z późniejszym Prof. WSP, wielostronnym znawcą J.I. Kraszewskiego. Obok niego szczególnie bliscy mi byli Franciszek Krysiak ze Sterdyni i Czesław Wojewoda z Jodłowej, rodzinnej Jastruna.

Poparciem i opieką otaczał nas nie tylko ZNP. Interesowały się nami również odgórne władze ZSL. Wówczas to po raz pierwszy zetknąłem się z Prof. Stefanem Ignarem, który z ludowców stał mi się najbliższy, i z Prezesem Czesławem Wycechem, późniejszym Marszałkiem Sejmu.

W II i w III Zjeździe, w Krakowie i w Zakopanem, nie brałem udziału, ale w IV, ostatnim, uczestniczyłem w Ciechocinku, podobnie jak w Łądku. Był bardziej ten Zjazd urozmaicony, ale nowego już nic więcej nie wniósł, co skwitowałem we fraszce pt. C.C. (Cyrulik Ciechociński): „Z włosiem i pod włos; głosy trefi WOŚS”, którego byłem Viceprzewodniczącym.

Nad średnimi szkołami wiejskimi zadominowały miejskie, tak samo jak nad wsiami zaczęły wszechwładnie panować miasta. Ludzie co aktywniejsi i bardziej uzdolnieni z naszych szkół wiejskich średnich awansu przede wszystkim szukali w mieście, bo na wsi go nie było.

Przy takiej selekcji na stronę czynną i bierną trudno mówić o rozwoju i o przyszłości, kiedy wegetacja wokół mnie wszechwładnie panuje. Złośliwie mógłby powiedzieć: To przecież owoc Twojej pracy. Ręce opadają.

Nie takich miałem nauczycieli i nie z taką młodzieżą zaczynałem pracę w klasach semestralnych. Nie była ona w wieku szkolnym, ale takiej szkolnej młodzieży już potem nigdy nie miałem.

Jeśli w szkole mówimy o młodzieży rosnącej, to o tamtej pookupacyjnej należałoby powiedzieć dorosłej, gdyż górna jej wieku granica dochodziła do 22 lat i wyżej. Młodzież ta miała za sobą wielką pauzę, jakiej żadna normalna szkoła nie pamięta – sześciu lat wojny.

Zacznę jednak nie na serio, lecz paradoksalnie na pół drwiąco, bez nazwiska. Nie miałem jeszcze szkolnej kancelarii. Zgłaszających przyjmowa-

łem w domu własnym. Z anonsem na bramie: DYREKCJA GIMNAZJUM W BIEŻUNIU.

Z początku nie zajrzał nawet pies z kulawą nogą. Miałem ręce pełne pracy, żeby beczynnienie siedzieć w domu. Mieszkanie zamknąłem na klucz i ruszyłem w kierunku bramy. A tu niespodzianka. W całej pełni panna, która zwróciła się do mnie ze słowami: — Czy tu Dyrekcja Gimnazjum, bo przyszedłem się załatwić.

Zażenowany odrzekłem: — Nie wiem, jak Pani poradzić, bo dom mój jeszcze nie skanalizowany.

— Mam papier — po przerwie dorzuciła — z podaniem.

Podanie przyjąłem, lecz kandydatka już się nie zgłosiła. Świadcstwo z 7 klas przedwojennych odesłałem pod wskazany adres.

Po niefortunnym spotkaniu przed bramą tego samego dnia za bramą spotkałem mego w rzeczywistości pierwszego ucznia. Lnianowłosa, w słomianym kapeluszu wyglądał na pastucha. Matka przypominała Orkanową komornicę. Bosonóż przyszedł z Polika. Matka z prośbą:

— Przysłał mnie tu Pan Kierownik Miętkiewicz z Rościszewa. Syn skończył szkołę zaoczną przy jego pomocy. Kierownik mówi, że powinien dalej się uczyć. Podobno bardzo zdolny, a ja nie mam żadnych środków do opłacenia nauki i do wyżywienia w Bieżuniu. Żyję z pracy rąk. Nie ma ojca.

To był pierwszy uczeń i do końca — poza Stefanem Rutowskim, co miał świadectwo z samymi dobrymi ocenami — jako pierwszy pod każdym względem się liczył. Został przyjęty i po roku umieszczony w naszym prymitywnym internacie, za który do czasu przyznania Szkole stypendium nic nie płacił. Uczył się bardzo dobrze. Wyróżniał się z przedmiotów ścisłych. Gimnazjum w powiększeniu ofiarował pierwszy portret Wł. Orkana.

Egzaminy maturalne zdał na bardzo dobrze i został przyjęty na studia do Związku Radzieckiego. Potem Szkoła uzyskała dodatkowe skierowanie na Politechnikę. To otrzymał drugi po nim uczeń Blomberg. Dlaczego nie on? Przecież z dwóch nie mógł korzystać, a pierwsze wyróżnienie zobowiązywało.

Obraził się na mnie i na Szkołę manifestacyjnie. Chciał i zasłużył na to, żeby zostać bezimiennym. Za to wdzięcznym i pamiętliwym okazał się jego kolega z klasy semestralnej. Dwa lata w Bieżuniu dla niego więcej znaczyło niż dla poprzedniego sześć. Mam na myśli Mariusza Gulczyńskiego.

Co dzień więcej niż 7 km drałował z Felcyna do Bieżunia. Z pajdą ciemnego chleba na cały dzień. Ze świadectwem uproszczonym z 4 klas od nas

przeszedł do Liceum w Sierpcu, gdzie wyróżnił się jako uczeń i przewodniczący szkolnego ZMP. Następnie pracował na różnych stanowiskach w organizacjach młodzieżowych i dalej się kształcił. Zdobył tytuł magistra historii, potem doktoryzował się, habilitował, jako docent był wykładowcą w Wyższej Szkole Nauk Społecznych w Warszawie, a obecnie jest naukowcem jako profesor nadzwyczajny PAN-u.

Pierwszą swoją książkę, owoc pracy, dociekań naukowych, ofiarował mi z dedykacją jakże wymowną: „Nauczycielowi mojego życia z wdzięcznością”. W ten sposób złożył hołd nie tylko mnie, ale i szkole średniej w Bieżuniu.

Po tych pierwszych uczniach, odzeganujących się i nader wdzięcznych, czas najwyższy przejść do uczniów o różnorodnym poziomie. Do młodzieży, jaka hurmem wtargnęła do szkoły, od pługa, kosi i sierpa, żadnej awansu społecznego, jaki przed nią otworzyła PRL z niedobitkami szkolnej inteligencji.

Cechował ją pęd do wiedzy i upór w nadrabianiu braków w nauce. Co więcej. Bez względu na przekroczony wiek umiała się podporządkować dyscyplinie szkolnej i do zarządzeń Szkoły żywiła niekłamanym respekt.

Od rana do wieczora Gimnazjum huczało jak ul na wyroju. Zajęcia szkolne przechodziły w pozaszkolne. Przez pracę w szkole i poza szkołą, jakby między jedną i drugą nie było granicy.

Trzeba ją było widzieć, jak wywoziła gruz, kopała fundamenty, porządkowała kartoflisko pod plac sportowy, na którym stoi nowy budynek licealny. Dzięki temu Szkoła na pierwszy rzut oka niepokazna pełniła rolę Szkoły w całym tego słowa znaczeniu.

Młodzież w niej umysłowo i fizycznie wyżywała się i zarazem umiała się bawić. Zwłaszcza przy akordeonie nieżyjącego już Leszczyńskiego tańczyć. Była do tańca i do różańca, niekoniecznie, choć z kościołem żyła w zgodzie. Poza tym urządziła wycieczki.

Jedną z najpiękniejszych była do Płocka. Odbyliśmy ją wszystkimi możliwymi środkami lokomocji. Na wozach gospodarskich z harmonią i śpiewem końmi wjechaliśmy do Sierpca, budząc swoją rodzajowością ciekawość bliską sensacji. Do Płocka koleją, zwiedzanie zabytków, spacer po Wiśle statkiem. Powrót koleją, autobusem i z konieczności pieszo, jak z pielgrzymki.

Zdawało się, że swoich uczniów, wciąż z nimi obcując, znam na wylot. A tymczasem nieoczekiwanie odkryłem, jakie w moich kawalirach i dzieuchach drzemiały ukryte talenty, znacznie świeższe w porównaniu z młodzieżą

przasnyską. Nad inteligentami z miasta, choć i tacy się u nas znaleźli, zagórowali synowie i córki z „Wesela” chłopskiego, co się zowie.

Wesele nie tylko miejscowe z poprawinami, ale i wyjazdowe do miasta Żuromina, a nawet do powiatowego Sierpca. Rzeczywiste i wizyjne w osobach dramatu. Drzwi środkowe otwarte na rozcież do komory. W jej głębi biała ściana z prześcieradeł w oświetleniu zza kulis. Ławka gimnastyczna od tyłu ściany zaocznej. Przez nią widmo dramatu zapowiada coraz to inny cień zjawy.

Akty I i II, weseliska i widmowego wesela, rozkręcały się po to, żeby w pełni wystąpić od połowy aktu trzeciego. Z wielkim chłopskim animuszem zagrał Czepca Tadeusz Twarogowski, późniejszy nauczyciel Liceum, jako Jasiek sekundował mu chłopski Kruk. Temperamenty zagrały i zagórowały nad słabością, którą daremnie chciała narzucić muzyka Chochoła z patykiem, bez róży, w tańcu par drepcących w zamkniętym kole przebrzmiałej przeszłości.

Na każde z tych przedstawień jeździła z nami Stefania Budny. Żadnego nie pominęła. Tak była oczarowana żywiołowością gry młodzieżowej. „Wesele” nie było tradycyjne, ale nowe, wyrosłe z nowego pokolenia chłopskiego.

Po nim wróciłem do klasyki i powtórzyłem przasnyską wersję „Odprawy posłów greckich”, która trzecim chórem i kreacją B. Nidzgarskiej nie ustępowało pierwowzorowi, ale już bez „weselnych” głębszych podtekstów.

Po tych dwóch tonacjach dramatu narodowego i tragedii przeszedłem do komedii zrękwiniowego dworku ze „Ślubów panińskich” z Guciem Osmańskim, kawalerem in spe i z Radostem sensatem śmiesznym przez swoją młodą powagę.

W związku z tym koncert gry w tej komedii należał nie do chłopców, ale do dziewcząt. W roli Anieli zabłysnęła Wiesia Sieradzka, a w roli Klary Dioniza Jaroszevska. Rozgrzany ich grą taki stworzyłem finał z Radostem Blombergiem, że sala i sami aktorzy biegli na wyścigi z radością.

Po „Ślubach” spod pantofla „Gwałtu, co się dzieje”, a po nich próby inscenizacji z „Dziadów” i „Nocy listopadowej”. Pałeczkę po mnie przejęła Pani Helena w „Cyganach” Puszkina i w „Ożenku” Gogola.

Takie były gry i zabawy sceniczne w one dawne lata.

Tak dobiegliśmy do dojrzałości wieku i dojrzałości widzenia. Czas przystąpić do matury. Do tej pierwszej, niezapomnianej, od której czas matur w Bieżuniu się zaczął i odtąd wciąż co rok nowymi maturami wraca.

Pierwsze egzaminy pisemne bez ocen niedostatecznych. Wiele ocen dobrych i niemało bardzo dobrych. To dopiero uwertura, po której nastąpił koncert egzaminów ustnych, zbiorowy i zarazem indywidualny w powiązaniu.

Zwłaszcza w odpowiedziach w blasku poezji klasycznej i romantycznej oraz prozy realizmu krytycznego aż do naszych czasów. Języki obce słyły ojczystego śladem. Matematyka i przedmioty ścisłe pod Wizytatora czujnym okiem.

Większość absolwentów prócz świadectwa dojrzałości po rocznym kursie pedagogicznym otrzymywała również prawo do nauczania w szkole podstawowej. To było signum tej matury. Bezpowrotne.

Szkoła miała w Kuratorium różnych wizytatorów, lecz takich z pierwszego 10-lecia, jak Henryk Kołacki i Franciszek Pikulski było tylko dwóch. Jeden z lat semestralnych, drugi z klas licealnych.

Za mego dyrektorstwa po tej pierwszej przeżyłem 14 matur, ale te następne już się ze sobą zwały w jedną całość słabo zindywidualizowaną. Grałowały między poziomem dobrym i więcej niż dostatecznym.

Z rzeszy mniej więcej 500 absolwentów wielu ukończyło studia wyższe, zbliżone do wyższych lub półwyższe. Są obecnie lekarzami (Prof. Stefan Smoczyński z Gdańska), inżynierami (Jędrus, syn brata Józka, inż. dr Instytutu w Puławach), prawnikami, dziennikarzami (Jerzy Kraszewski, zastępca red. nac. „Trybuny Ludu”), w wojsku w różnych rangach aż do pułkownika, urzędnikami administracji na różnych stanowiskach. Nie brak ich w ośrodkach zdrowia i kultury. Najwięcej w oświacie. Zwłaszcza na terenie dawnego powiatu: gdzie kamieniem rzucisz, tam nauczyciel, dawny wychowanek Liceum.

Roczniki matur narastają nie tylko jedne po drugich, lecz i jedne na drugich. W pomieszaniu z różnymi niedomówieniami. Trzy Zjazdy Maturzystów i Wychowanków częściowo te niedomówienia uzupełniały. Jednak już od nich sporo lat minęło, żeby nie narosły niedomówienia nowe.

Z nich do najsmutniejszych należą domówienia ostateczne. Jednego z nich nie mogę w żaden sposób pominąć. Dotyczy on Krysi Chełmińskiej. Warszawianki. Najpiękniejszej uczennicy, która w warszawskich szkołach miejsca nie mogła zagrzać i w końcu władze szkolne z ostatnim skierowaniem przysłały ją do Bieżunia, bo już innego wyjścia dla niej nie widziały w Warszawie.

Nie bez oporu przyjęta, w szkole, jak i w internacie, gdzie nieraz musiała, ona wydmuchana i wychuchana, podłogę zmywać, bo w nim takie spartańskie panowały warunki, znalazła nareszcie dla siebie miejsce na ziemi. Nie tylko w Szkole, ale jak sama nie bez przesady mówiła: znalazłam opiekuna, drugiego ojca, bo pierwszego straciłam na wojnie.

Wniosła taniec do zajęć pozalekcyjnych. Jako dziewczynka chodziła do szkoły baletowej i robiła nawet szpagat. Wniosła do życia szkolnego urodę, wdzięk i uśmiech warszawianki. Skończyła studia polonistyczne i wyszła za mąż. Ostatnio pracowała w zespole redakcyjnym „Przyjaciółki”.

Stale była w kontakcie ze mną przez listy i życzenia świąteczne. Niestety, zły los nie dał jej rozkwitnąć. Zachorowała niebezpiecznie. Trzy miesiące wystarczyły, żeby nowotwór zapanował wszechwładnie.

Pod koniec postanowiono beznadziejnie chorą przenieść z jednego szpitala do drugiego. W drugim zażądano wyrażenia zgody. Wówczas podług relacji matki miała odpowiedzieć: Nie mam siły odpisać swemu Dyrektorowi. Jakże możecie żądać, żebym pióro ujęła w rękę. To ponad moje siły.

Jeśli łza może świecić w oku jako gwiazdka, to łza po Krysi Chełmińskiej-Koprowicz nie może być inna, jak gwiazda wilgotna i jak morze słońca. Nie ma jej na firmamencie niebieskim. Wciąż wraca gwiazdą spadającą.

To było spojrzenie na ucznia z punktu widzenia dydaktyczno-wychowawczego. Szkoła średnia im. Wł. Orkana z perspektywą „szczęśliwej gminy” wiązała pracę umysłową z fizyczną, żeby nie odrywać młodzieży od domu i od środowiska wiejskiego, jako anteuszowego.

Te cele dydaktyczno-wychowawcze górowały zwłaszcza w klasach gimnazjalnych. Uczniowie szczególnie ze szkół wiejskich podstawowych przy rekrutacji przynosili takie braki, że w normalnych warunkach są nie do pomyslenia. Stąd przede wszystkim nacisk na naukę, żeby braki przezwyciężyć i wiadomości uzupełnić przy pomocy nauczycieli i zdolniejszych kolegów.

Prawdziwa orka na utorze wyzwolonym z syzyfowych prac. Grunt jako tako w poziomie wyrównać i materiał przerobić programem przewidziany – to nie lada sztuka dla bezimiennych Siłaczek i Andrzejów Radków. Na szczęście już niepodległych w warunkach dziś obecnie panującej Polski Ludowej.

Te założenia dydaktyczno-wychowawcze nauczycieli oczywiście pozostawały w bezpośrednim związku z działalnością organizacji uczniowskich i z samorządem szkolnym, nad którym czuwali Wychowawcy Klasowi i Opiekuni.

Komórką podstawową była klasa i od niej zaczynała się praca z klasą i z samorządem klasowym: z gospodarzem, jego zastępcą i z sekretarzem. Do tego co tydzień dochodzili dyżurni klasowi, regulaminowo odpowiedzialni.

Wychowawca dbał o wygląd uczniów. Obowiązującą wizytówką był ich ubiór. U chłopców czapka maciejówka, włosy porządnie ostrzyżone, kołnierzyk koszuli biały, czysta szyja, marynarka zasadniczo granatowa, spodnie w kant, buciki wyglancowane, paznokcie obcięte, a u dziewcząt beret, włosy skromnie uczesane lub warkocze, ciemne fartuchy, kołnierzyki pikowe bez mereżek na co dzień, a od parady białe bluzeczki i granatowe spódniczki.

Do tego doszły tarcze uczniowskie ze skrótowną nazwą szkoły, jej numerem i nazwą miejscowości. Każdy więc nosił na sobie widoczny adres i musiał się z tym liczyć, bo Szkoła i Dom miały w tej sprawie swoje zdanie.

To wszystko obecnie bezpowrotnie przebrzmiało. Zginęła w ubiorze skromna jednolitość, zapanowała rażąca kolorowość. Zginęły mundurek i fartuch szkolny, panoszy się moda z dyskoteki. Tarcze szkolne zmalowały prawie że do znaczków pocztowych. Trudno zorientować się, kto jest uczniem. Pali na ulicy papierosy. Jeśli to w większym mieście, nikt nie zwróci uwagi.

Męski strój dziewcząt nadaje im pozory chłopców, a długie włosy pozory dziewcząt u chłopców. Taka ostatnio zaistniała u chłopców i dziewcząt wymienna dwuznaczność w wyglądzie, gdy tymczasem seks w środkach masowego odbioru i czasopiśmie tak bardzo podkreślają różnicę płci nadobnej.

Po tej dygresji poglądowo-wyglądowej wracam do Wychowawcy i jego godzin z uczniami wychowawczych.

Jej pierwsze 15 min. właśnie do niego należało. Sprawdzał tygodniową nieobecność usprawiedliwioną i nieusprawiedliwioną, podobnie w spóźnieniach, oceniał pracę dyżurnych, kontrolował oceny, sprawdzał zachowanie uczniów, baczył na ich schludny wygląd.

Po pierwszych 15 min. wychowawcy następowało drugie 15 min. Gospodarza lub jego referenta. Poruszali oni różne zagadnienia dotyczące roli ucznia w szkole takie, jak: poznaj samego siebie, żebyś mógł należycie swoje możliwości ocenić, wśród swego otoczenia, bliższego i dalszego, wydobać przykłady, godnych naśladowania, pomagaj tym, co chcą być lepszymi, a to im nie wychodzi, stroń od tych, co chcą cię sprowadzić na swoje bezdroża, ze sławnych mężów bierz przykład, jak też z bohaterów pozytywnych, nawet i tragicznych – przykładowo.

Wreszcie po drugim 15 min. następuje trzecie tygodniowo-prasowe, z gazet i czasopism, poświęcone sprawom krajowym i będącym na czasie – przygotowali je kolejno wszyscy uczniowie danej klasy.

W porównaniu z samorządem klasowym wyższym rangą był samorząd ogólnoszkolny. Niestety, w tej dziedzinie szkoła nie może się poszczycić większymi osiągnięciami, poza sobótkami szkolnymi, najczęściej tanecznymi. Oczywiście reprezentował Szkołę, brał udział w uroczystościach i w imprezach szkolnych, występował w apelach i miał programy, których nie realizował.

Nie realizował, bo w tej dziedzinie rugowała go lub spychała na plan dalszy organizacja szkolna Związek Młodzieży Polskiej, który miał swoje odgórne władze i własny program bardziej autorytatywny od samorządowego.

Zaletą jego było to, że młodzież w nim zdyscyplinowała sama siebie. I nie tylko zdyscyplinowała, ale i ukierunkowała. ZMP nastawił ją na TAK wobec panującej rzeczywistości, do której miejscowe społeczeństwo odnosiło i odnosi się nadal z rezerwą, niezależnie od tego, skąd wiatr powieje.

Odgórne TAK zetempowców za bardzo manifestowane wywoływało reakcję tłumionego nie, które w kryzysowych momentach wiodło do wielkiego NIE. W ten sposób maksymalizm optymistyczny wywołał maksymalizm pesymistyczny.

Poza tym organizacja ta odgórnie kierowana popadała nieraz w konflikty podwórkowe, gdyż nade wszystko ceniła wartości polityczno-wychowawcze, a nie doceniała dydaktycznych. W związku z tym preferowała nieraz uczniów słabszych, lecz aktywnych, wbrew uczniom dobrym i bardzo dobrym nie po myśli, nieraz ich zmuszając do udawania dwulicowego.

Czy jednak należy tak surowo krytykować tę młodzież zetempowską za jej niewątpliwą gorliwość i zaangażowanie w działaniu? Nie sądzę. Wina młodzieży da się jeszcze usprawiedliwić młodością wieku pochoptego, ale nie może od winy oczyścić tych, którzy w zaślepieniu nie widzieli wypaczeń lub co gorzej, nie chcieli widzieć.

Sytuacja znacznie się poprawiła, kiedy w roku 1957 Związek Młodzieży Polskiej został zlikwidowany i powstał Związek Młodzieży Wiejskiej, przez tradycje organizacji „Wici” bliższy charakterowi naszego Liceum.

Ucichły tarcia wewnętrzne oddolne i odgórne, poprawił się styl zgodnej współpracy. Kontakty ze wsią i z jej problematyką ponownie znalazły się w centrum uwagi. Do głosu doszedł folklor przez pieśni i tańce ludowe.

ZMW włączył się do czynów drogowych, co się podówczas na naszym zaniedbanym terenie niezwykle ożywiły. Nowe już smołowane drogi, a za nimi autobusy między innymi zbliżyły wsie do szkoły. Ożywiły kontakty bezpośrednie pomiędzy domami rodziców a Szkołą.

I cóż z niego wynikło i ocalało? Awansowy paradoks. ZMW wychowywał synów i córki chłopskie przede wszystkim dla wsi, a tymczasem poziom gospodarczy, oświatowy i kulturalny kierował młodzież ze wsi do miast.

Młodzież miejscowa i zamiejscowa, dochodząca i dojeżdżająca w promieniu od 12 do 15 km, w życiu pozaszkolnym zasadniczo znajdowała się w zasięgu rodziców i domu rodzicielskiego... koni... krów... i trzody chlewnej.

Szkoła jednak, dzięki ogólnemu poziomowi i panującej o niej opinii, dalej sięgała niż możliwości dojazdu – dzięki internatowi żeńskiemu i męskiemu, które brały na swoje barki cały ciężar wychowawczy z domem rodzicielskim włącznie. Przy założeniu, że ten początkowy prymityw można uznać najwyżej za internaty in spe.

Internatem męskim, ciasnym i prymitywnym, najpierw opiekował się Stefan Borek, wcześniej zmarły, a następnie Stanisław Brzozowski, co go uporządkował do ostatnich granic możliwości. Po nim funkcję opiekuna objął Kuczkowski.

W znacznie lepszych warunkach lokalowych prosperował internat żeński. Opiekunką jego od początku była Helena Drobot, która umiejętnie się troszczyła o zdrowie, naukę i warunki życia osobistego wychowanek. Wiecznych zmartwień z NOCY I DNI, jakich nie brak w życiu rodziców i ich dzieci.

Była bezpośrednia i zarazem dociekliwa. Przeszła przez ciężką szkołę pierwszej wojny światowej w dzieciństwie, a następnie drugiej, gdy Mała za sobą miała zaledwie jeden rok pracy własnej w Polsce międzywojennej.

Przez swoją biedę dawną poznawała biedę nową innych. Niektóre dziewczęta mają dar koloryzowania. Chcą siebie ukazać w korzystniejszym świetle. To je podnosi we własnym samopoczuciu. Inne znów malują warunki własnej egzystencji domowej z przejaskrawieniem, żeby przez całą jaskrawość zdobyć dowody współczucia, troski i wyrozumiałości.

Jedne i drugie znają aż nadto dobrze serce swojej wychowawczyni i z tego przywileju korzystają, jak mogą, mimo że Pani Nasza uważa siebie za bardzo przenikliwą i – jak to mówią – kutą na cztery nogi. A tymczasem:

— Dziewczynka dzwoni. Drzwi Pani się otwierają. Stoi biedactwo i pochlipuje. Co ci jest? Babunia umarła. Dla przygarniętej we łzach, ugłaskanej wolna droga. Uszczęśliwiona biegnie do PKS-u, bynajmniej nie na pogrzeb. Na spotkanie z sympatią. Babunia na szczęście zdrowa. Chłopiec z brodą zdrowo zadrwił ze smarkatej i odjechał w dal z narzeczoną. Zapłakana wraca z pogrzebu własnych rozczarowań do internatu i wpada w ramiona Pani wystrychniętej na dudka. Płacze i myśli, że tymi łzami Panią Dobrotkę udobrucha.

Wypadek sporadyczny. Nie tak bardzo. Budynek prawie że rynkowy przyuliczny. Chłopców i kawalerów różnych odmian nie brak. Kręcą się pod oknami. Dla próżności dziewcząt gratka, choć z buzią w ciup udają niewiniątka.

Nieraz są to już panienki na wylocie. Z takimi najtrudniej. Zaryzykować jednak warto. Najbardziej niebezpieczna – nie z wyboru, lecz z nominacji ma być pierwszą gospodynią. Tydzień, dwa sprawy z kawalerami i z kolegami z internatu męskiego umilkły. Porządek wzorowy. Sukces nad podziw.

Do czasu. Wypadł dyżur niespodziewany. Gdzie gospodyni? w sypialni? na sali? wyszła? Wśród starszych popłoch, młodszych mysie ogonki przeczą. Jeden paluszek nie wytrzymał i wskazuje na separatkę.

Nie ma rady. Trzeba sprawdzić. Drzwi zamknięte. Stukanie, pukanie. Otworzyć. Nikt nie odpowiada. Klucz jeden, drugi, trzeci. Nareszcie pasuje. Oczy biegną śledcze. Półmrok. Zdecydowany głos ku wyjściu. Nie ma nikogo.

Trzask i zgrzyt klucza w zamku. Czas na kolację. Czego się gapiacie? Podnoszę głos: Prędeży! Patrzą w okno jak w lustro. Zgrzyt. Drzwi się ukradkiem uchylły. Na palcach umykają skrzydlaci złoczyńcy.

Nie jestem pewna, czy tak należało postąpić. Nie mogłam inaczej. Sama wybrałam na próbę taką gospodynię i nie mogłam sama siebie oskarżać. Niezły orzech do zgryzienia. Nawet nie wiem czy pełny, czy pusty.

Życie w internacie nie jest tak proste, jak nieraz rodzicom się wydaje. Ileż zmartwień rzeczywistych i urojonych, chorób prawdziwych i symulowanych, ileż owiec w lisiej skórze groźnych dla internackiej trzódki owieczek!

Odżegnać się? zabieg profilaktyczny wątpliwej wartości. Zgoda na kapitulację? Nie ma mowy. Zamiast powieści dla przyzwoitych panienek dobrze wychowanych, dziennik wychowania zamaskowany, żeby zachować twarz własną. —

To są słowa jakby wyjęte bezpośrednio z ust Pani Heleny, żeby rzucić smugę światła na smugę cienia z przeżyć wydobytą, a więc miarodajną. Ze zmruczeniem oka, wątpliwej wartości.

Rodzicom dzieci się wymykają, a wychowawcom uczniowie.

Rodzice tkwią jeszcze w dawnych przeżytkach, a dzieci ze szkół głównie ponadpodstawowych już się z nich wyzwalają, stąd narastał coraz większy rozdźwięk pomiędzy rodzicami a córkami i synami.

Gimnazjum nasze, a następnie Liceum, pomimo że postępowe, stawały w obronie rodziców, gdyż przez szkołę średnią awans społeczny ich dzieci od nich przede wszystkim zależał.

Szkoła na wsi szła i m na rękę. Toteż rodzice ze wsi sekundowali Bieżuniowi przez Komitet Rodzicielski w rozbudowie Szkoły, zwłaszcza w pierwszym okresie, w którym bez jego usilnej pomocy nie wiem, jakby się potoczyły dalsze losy szkoły średniej w Bieżuniu.

Komitet wydatnie pomagał przy remontach kapitalnych, w których nie-małą rolę odgrywali miejscowi murarze i stolarze. Zbierał fundusze, wkłady od uczniów nowowstępujących, urządzał coroczne loterie fantowe, w żywych fantach szczególnie atrakcyjne, majówki w parku pozamojskim, bale rodzicielskie, zabawy uczniowskie, studniówki i bale pomaturalne. Pomagał w imprezach szkolnych, czuwał nad stancjami uczniowskimi, nad zachowaniem się młodzieży w godzinach wieczornych – w ogóle dbał o dobre imię Szkoły. Niezlomnie stał przy Gimnazjum i przy Liceum wbrew wszelkim zakusom powiatu.

Dzięki staraniom Przewodniczącego KR Kazimierza Bieniewskiego Liceum otrzymało sztandar. W związku z tym w 15. rocznicę istnienia Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Orkana w Bieżuniu odbył się Zjazd Maturzystów i Wychowanków. W ich obecności otrzymał Sztandar pierwszy poczet szkolny z rąk pierwszego Nauczyciela Gimnazjum Jerzego Poradowskiego.

Następnie dzięki zabiegliwej gospodarności Komitet Rodzicielski zebrał 70 000 zł na wykup działek pod budowę obecnego budynku Liceum z zapleczem pod boisko sportowe oraz z trzema mieszkaniami dla nauczycieli.

Wreszcie nie ja tylko Komitet Rodzicielski pożegnał stara szkołę, w której obecnie znajdują się obydwa, męski i żeński, internaty i powitał nową. Ja sam, chociaż wywalczyłem nowo wybudowaną i przekazałem ją w stanie surowym do pierwszego piętra, całym swoim jestestwem należałem do starej. Z nią rosłem do ostatnich granic możliwości. Budowanie, a raczej roz-

budowanie Szkoły razem z uczniami, co w ten sposób kształcili się podwójnie, wiodło więc do Liceum w budynku nowego, jako uwieńczenie zasług starego. Jak to nowe potrzęsało nowości kwiatem, to już nie do mnie należy.

* * *

Pożegnałem Szkołę bez pożegnania. Zabrałem ze sobą tylko tytuł Dyrektora. Ten stał się moim w Bieżuniu zastępczym nazwiskiem. Dawno Dyrektorem nie jestem, a nikt z miejscowych o mnie nie mówi, jak Dyrektor, chociaż już po mnie czterech dyrektorów być przestało.

Dyrektorem Gimnazjum i Liceum w Bieżuniu, od założenia w 1945 roku, byłem przez 20 lat z cezurą po pierwszych 10 latach, w których była jeszcze druga cezura po 5 latach, kiedy szkoła średnia w Bieżuniu została upaństwowiona, bo dotychczas była samorządowa.

Przez to pierwsze dziesięciolecie pochłaniała mnie całkowicie, prawie że bez reszty. Żyłem nią, jej atmosferą oddychałem i nic co szkolne nie było mi obojętne. Ja i Szkoła to jedno. Tak z prześmiechem mówili bieżuniacy, kiedy na moim dyrektorstwie wecowali swoje języki siewieckie. Nie siewców, lecz szewców, tak w Bieżuniu ongiś popularnych.

Po 10 latach Dyrektor jakby się we mnie kompleksowo rozczepił. Doshedł do niego Radny Wojewódzki i następnie Poseł na Sejm dwóch kadencji. W rezultacie musiałem się dwoić i troić.

Szkoła jeszcze żyła dawnym napędem dzięki stałej wypróbowanej kadrze, dzięki Pani Heleny bezinteresownym zastępstwie i dzięki Sekretarce Krysi, mojej bratowej, która czuwała nad sprawami kancelaryjnymi i finansowymi Szkoły, internatów i Komitetu Rodzicielskiego.

Styl pracy zasadniczo się nie zmienił. Może nawet przez moją pozycję społeczną umocnił, chociaż z drugiej strony nowo powstały powiat Żuromin wszystkich starań dokładał, żeby to znaczenie Bieżunia osłabić i pomniejszyć, gdyż chciał Liceum Ogólnokształcącego, mimo że już miał Szkołę Zawodową i Technikum, ze względów prestiżowych przenieść do Żuromina.

Do tej jednej kuli u nogi dołączyła się druga w sam raz pasująca do kulawego Dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Bieżuniu. Przyszła reorganizacja i szkoły średnie przeszły z Kuratoriów do Inspektoratów. W ten sposób szkoły średnie zbliżyły się do podstawowych, które przez to się nie podniosły. Nadzór stał się nominalny i przestał być merytorycznym.

Początkowo przy stałej kadrze nauczycieli z wyższymi kwalifikacjami regres nie zagrażał. Dopiero sprawa zaczęła się komplikować przy zmianach kadrowych. Wypróbowanych nauczycieli zaczęli zastępować wybra-

kowani miejscowi, bo Kuratorium już nam przestało przysyłać nauczycieli po studiach stacjonarnych z wyższymi aspiracjami przedmiotowymi.

To wpłynęło na obniżenie poziomu nauczania Liceum nie tylko bieżącego, ale w ogóle szkół tego typu, i zaczęły się pojawiać głosy, że szkoły średnie gminne i małomiejskie należy likwidować ze względu na brak odpowiedniej bazy, kadr, odpowiedniego naboru uczniów i odpowiedniego środowiska, zwłaszcza kulturalnego na naszej zapadłej prowincji.

W tych warunkach, wręcz nieprzychylnych, udało mi się jako posłowi wprowadzić do planu 5-letniego zamiast planowanego Internatu budowę Liceum Ogólnokształcącego, w czym Kuratorium WRN mi wydatnie pomogło.

Żuromin zaskoczony działaniem władz odgórnych, zdystansowany postanowił działać oddolnie na własną rękę, bronić musztardy po obiedzie: jedyną inwestycję Bieżunia na rzecz Liceum w globalnych Żuromina.

Bieżuń stanął okoniem. Żuromin zmobilizował trzy swoje rynki i zwołał pospolite ruszenie. Zadawnione antagonizmy odżyły. Żuromin kijem zawraca Wkrę, kielbie się nie dają. Co robić w podobnie drastycznej sytuacji?

Pojechałem do Pierwszego Sekretarza KW, już dziś nieżyjącego od lat, Mariana Jaworskiego i przedstawiłem racje za utrzymaniem Liceum w Bieżuniu. Przecież między innymi za tę Szkołę, jedną z pierwszych w gminie, uzyskałem tytuł Zasłużonego Nauczyciela PRL.

Szkoła przez dwadzieścia lat istnienia wrosła korzeniami w grunt, jak drzewo o rozłożystych konarach, i obrosła tradycją pierwszej szkoły licealnej w moim powiecie, w którym wychowankowie tego Liceum nie małą odgrywają rolę. Zasłużyła na to, żeby być utrwalaną, nie jednym pociągnięciem biurokratycznego pióra likwidowaną.

Te i inne argumenty zdecydowały o ostatecznym utrzymaniu Liceum w Bieżuniu. Sek. M. Jaworski telefonicznie powiadomił Sek. K.P. w Żurominie o definitywnej decyzji. A gdy ten stawał w obronie powiatowego veto, usłyszałem jednocześnie z adresem do moich uszu, jak Pierwszy Sekretarz użył tych słów: „Niech bieda z drugiej biedy nie czyni nędzy, z której nie ma wyjścia.” Dzięki tej interwencji i przy zdecydowanej postawie Bieżunia zwyciężyłem.⁵⁾ Było to dla mnie jednak osobiście zwycięstwo pyrrusowe. Powiat mi tego nie darował. Powiatowy Walczak był nie do zwalczenia.

Już się nie znalazłem na liście kandydatów w wyborach do Sejmu po raz trzeci. Co więcej. Nie zostałem wytypowany jako radny do żadnego ze szczebli rad narodowych, a przecież po poselstwie jeszcze mi się należała jedna rada narodowa, wojewódzka.

Postanowiłem siebie całego oddać Szkole, żeby do nowej za rok wejść z odpowiednim nastawieniem do jej przyszłych zadań. Jednak ten powrót nie bardzo mi się udał, bo w niedomówieniu, przynajmniej na przyszły rok, zapowiadał powrót do dawnego stylu pracy, zbyt arbitralnego.

Czasy się zmieniły, a ja się nie zmieniłem. I jak w Polsce popuszczającej pasa spotkały się ze zdecydowanym oporem pierwsze odgórne próby zaciskania, tak też moje podkreśnianie śruby spotkało się z jawną i nieujawnioną opozycją w gronie nauczycielskim.

Rok szkolny już się kończył i nikt się pewnie nie spodziewał, że dla mnie skończy się ostatecznie. A tymczasem na ostatniej sesji rocznej i pomaturalnej nieoczekiwanie nadeszła wiosenna burza i grom we mnie uderzył.

Niezawodny nauczyciel matematyki postawił mi zarzut, że na pisemnej maturze, na której nie mógł być z powodu choroby, przez swoje trzy grosze obniżyłem poziom prac pisemnych. Zarzut absurdalny: chodziło o uczniów ściągających, co się bezkrytycznie zdemaskowali.

Odpowiedziałem: oskarżać mnie za wyniki i w ten sposób usprawiedliwiać siebie, to czynić ze mnie dyrektora malowanego, a nie rzeczywistego, nie ma mowy, chyba że przyjdzie mi zrezygnować z dyrektorstwa.

— Strachy na Lachy. Nie ma takich głupich, żeby w to uwierzyli. Przecież Dyrektor i Szkoła to jedno — dorzucił zjadliwie. Nie było innego wyjścia wobec ogólnego milczenia. Opuściłem zebranie z zaznaczeniem, że nie jestem w stanie podobnej sesji kontynuować. Wróciłem do domu i złożyłem na piśmie rezygnację nie z przymusu, lecz z konieczności i dobrej mojej woli.

Mimo że było już po ruchu służbowym, władze powiatowe z rezygnacji chętnie skorzystały, a władze Kuratorium z osławionym później maturalnym Naczelnikiem Wyrzykowskim nawet ze mną nie chciały rozmawiać.

Już mury nowej szkoły od piętra w górę się pięły, kiedy ostatniego sierpnia 1965 r. zdałem Szkołę memu następcy Adolfowi Pankowi, który zrezygnował ze stanowiska Inspektora Szkolnego w Żurominie na rzecz Dyrektora Liceum w Bieżuniu. Na pożegnanie uścisk dłoni. Bez słowa.

Szkoła była moją po nieudanej odzyskanej młodością, która przez rekompensatę nadawała sens mojemu istnieniu. Pożegnałem ją bez obejrzenia się za siebie. Nie ma powrotu. Rynek mnie połknął i znalazłem się w gardle ulicy Zamkowej po to, żebym się zamknął w szczyrych pustkach domu.

Patrzę w okno. Kwiaty matki już zapowiadają przekwit w oczach. Co innego mówią drzewa ojca. Czuję na wargach pocałunek owoców. Z nim wychodzę do ogrodu. Kroki kieruję ku naszej pierwородnej jabłoni. A tu tymczasem oczy rozdziera widok rozdartej jabłoni. Konar owocującej jesie-

ni na pół od pnia oddarty czołem legł na ziemi. Widać, że w imię ojca się wyłamał.

A we mnie jednocześnie odezwał się Judym, z rozdartą sosną. Rokiem 1900 łączą nas „Ludzie bezdomni”. Judym dopiero wchodził w dojrzałość, a ja tę dojrzałość mam już za sobą. Wkroczyłem w starość i raczej podobny jestem do Don Kichota walczącego z niedobitkami wiatraków, jako że ojciec mój był wiatraczny. Wiadomo, syn po ojcu. Bezpotomny.

Odszedłem od tej mojej Szkoły. Nie z mojej winy prawie że z nią zerwałem, ale już minie niedługo po minionych dwudziestu latach prawie drugie 20 czuwania, żeby nie dać jej upaść przy niedoborach kadrowych i rekrutacyjnych.

Ocaliłem Liceum od zagłady, ponieważ władze chciały uczynić z niego jeden z budynków Szkoły Zbiorczej. Udało mi się to dzięki obecnemu Kuratorium, które dokłada wiele starań, żeby podnieść poziom tej pionierskiej placówki, co tyle lat liczy, ile Polska Ludowa.

Poza tym są wszystkie dane, że poziom rekrutacyjny kandydatów się podniesie, kiedy Szkoła Zbiorcza stanie się w r. 1986 największą gminną na całe województwo i kiedy w budynkach internackich zostanie przeprowadzony remont kapitalny. Podniesie się również poziom kadr, kiedy w tymże roku otrzymamy 24 mieszkania dla nauczycieli. Wówczas patron Liceum odżyje w mojej interpretacji: Władysław Orkan – oddaj nauce N – a odezwie się ORKA.

Przypisy redakcji

1. Fragment niepublikowanych wspomnień Stefana Gołębiowskiego pt. „Wizerunek trójosobowy”, mps w zbiorach Muzeum Małego miasta w Bieżuniu, sygn. MB/DP/361, s. 83-145 (autor nie podał daty, z tekstu wynika, że powstał on około 1984 r.)
2. Dane o obławie i mordzie nieścisle. Dokładny opis zob.: St. Ilski, M. Przedpełski, J. Siedlecka, St. Zaleski, „Biezuńskie Zeszyty Historyczne”, 1994, nr 4, s. 95.
3. Nieścisle. Bronisław Oleksiak ukończył w 1932 r. Seminarium Nauczycielskie w Mławie i maturę.
4. Nieścisle. Stefania Budny była doktorem filozofii, zob.: W. Mieszkowski, Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana w Bieżuniu 1945–1995 w świetle dokumentów, „Biezuńskie Zeszyty Historyczne”, 1995, nr 6, s. 106.
5. Nieścisle. Udokumentowany tekst o obronie inwestycji budowy Liceum Ogólnokształcącego w Bieżuniu zob.: tamże, s. 80-87.